

HERMANN HESSE

KURACJUSZ



Wydawnictwo Dolnośląskie



HERMANN HESSE

KURACJUSZ

ZAPISKI Z KURACJI W BADEN

Przekład
Małgorzata Łukasiewicz

Wydawnictwo Dolnośląskie
Wrocław 1991

Tytuł oryginału: Kurgast. Aufzeichnungen von einer Badener Kur.

Podstawa przekładu: Hermann Hesse, Gesammelte Werke Suhrkamp Verlag, Frankfurt a/M, 1970, t. VII

© Copyright by Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o., Wrocław 1991

Projekt okładki Renata Pacyna

Zdjęcia wykonano w Muzeum Narodowym we Wrocławiu

Redaktor Anna Matkowska

Redaktor techniczny Marek Krawczyk

Printed in Poland

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o.

Wrocław 1991

Wydanie I

Zam. nr 812/91/00

Druk: Wrocławskie Zakłady Graficzne

Wrocław, ul. Oławska 11

ISBN 8702192

Motto:

Próżnowanie jest początkiem wszelkiej psychologii.

Nietzsche

PRZEDMOWA

O mieszkańcach Szwabii powiada się, że rozumu nabierają dopiero koło czterdziestki, oni sami zaś, nie grzesząc pewnością siebie, poczytują to niekiedy za hańbę. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie, jest to wielki honor, albowiem ów „rozum”, o którym mowa w porzekadle (dokładnie to samo, co młodzi ludzie nazywają też „mądrością, która przychodzi z wiekiem”, znajomością wielkich antynomii, tajemnicy wiecznego powrotu i dwubiegunowości życia), nawet u Szwabów, jakkolwiek tak są zdolni, rzadko zdarza się już w wieku lat czterdziestu. Gdy natomiast przekroczy się czterdziesty piąty rok życia, owa mądrość albo mentalność właściwa podeszłemu wiekowi przychodzi sama z siebie, zwłaszcza gdy wspomaga ją początek fizycznego procesu starzenia się, ze wszystkimi charakterystycznymi znakami ostrzegawczymi i dolegliwościami. Otóż do najczęstszych dolegliwości należy podagra, reumatyzm i ischias, a te właśnie cierpienia sprowadzają nas do Baden. Otoczenie sprzyja więc temu typowi mentalności, do której również i ja teraz doszedłem, i całkiem automatycznie, za sprawą *genii loci*, popada się tu w swego rodzaju sceptyczną pokorę ducha, prostoduszną mądrość, wielce subtelną sztukę upraszczania, nader inteligentny antyintelektualizm, który podobnie jak temperatura kąpieli i zapach siarczanej wody należy do specjalności Baden.

Albo, krócej: my, kuracjusze i podagrycy, jesteśmy w szczególny sposób skazani na to, by ignorować ostre kandy życia, godzić się na wszystko, nie hołdować żadnym wielkim złudzeniom, a za to setki drobnych, łagodnych złudzeń chronić i pielęgnować. Kuracjuszom w Baden, jak mi się zdaje, owa znajomość antynomii szczególnie jest niezbędna, a im sztywniejsze mamy nogi, tym pilniej potrzeba nam elastycznego, obosiecznego, bipolarnego myślenia. Cierpimy, ale nie są to cierpienia owego heroicznego, dekoracyjnego rodzaju, które cierpiący nie tracąc szacunku innych może traktować najpoważniej w świecie.

Przemawiając tak, wynosząc moją prywatną mentalność starzejącego się ischiatyka do rangi typu, ogólnej normy, wypowiadając się niejako nie tylko we własnym imieniu, ale w imieniu całej klasy ludzkości i kategorii wieku, zarazem, przynajmniej chwilami, zdaję sobie w zupełności sprawę, że jest to wielki błąd i że żaden psycholog (chyba że psychicznie byłby moim bratem bliźniakiem) nie uznałby mojej duchowej reakcji na świat i przeznaczenie za normalną i typową. Opukawszy mnie krótko uznałby mnie raczej za nieco uzdolnionego, nie wymagającego trzymania w zakładzie zamkniętym odludka z rodziny schizofreników. Ja wszelako spokojnie korzystam ze zwyczajowego prawa każdego człowieka, w tym także psychologa, i nie tylko na ludzi, ale również na rzeczy i instytucje mego otoczenia, ba – na cały świat, rzutuję swój sposób myślenia, temperament, radości i cierpienia. Uważam swoje myśli i uczucia za „słuszne”, za uprawnione, i nie dam sobie wydrzeć tej przyjemności, choć świat bezustannie stara się mnie przekonać, że to nieprawda; co więcej – nic sobie nie robię z tego, że mam przeciwko sobie większość, prędzej odmówię słuszności jej niż sobie. Podobnie jest z moją opinią o wielkich niemieckich poetach, których nie przestanę czcić, kochać i potrzebować tylko dlatego, że znakomita większość żyjących Niemców postępuje odwrotnie i przedkłada rakiety nad gwiazdy. Rakiety są śliczne, rakiety są zachwycające, niech żyją rakiety! Ale gwiazdy, ale oczy i myśli pełne ich niemego blasku, napełnione wibrującą muzyką kosmosu – o przyjaciele, to coś całkiem innego!

I jeżeli następnie ja, mały poeta, zamierzam sporządzić szkic pobytu u wód, myślę o dziesiątkach podróży do wód i wypraw do Baden, opisanych swego czasu przez lepszych i gorszych autorów, z zachwytem i wciąż myślę o prawdziwej gwiazdzie pośród rakiet, o sztuce złota pośród papierowych banknotów, o rajskim ptaku pośród wróbli, o podróży do wód doktora Katzenbergera¹, ale myśl ta nie przeszkodzi mi wcale wysłać w ślad za gwiazdą mojej rakiety, w pogoni za rajskim ptakiem – mego wróbelka. Leć, wróbelku! Wzbij się, papierowy latawcze!

1 Mowa o powieści Jeana Paula *Dr Katzenbergers Badereise* (przyp. tłum.).

KURACJUSZ

Zaledwie pociąg mój przybył do Baden, zaledwie z niejaką trudnością zszedłem ze stopni wagonu, już zaczęła działać magia uzdrowiska. Stojąc na wilgotnym cemencie peronu i wypatrując hotelowego portiera, ujrzałem, jak z tego samego pociągu, którym przyjechałem, wysiada trzech czy czterech kolegów, ischiatyków, charakterystycznych przez lękliwe ściąganie pośladków, niepewny krok oraz nieco bezradną i płaczącą mimikę, jaka towarzyszyła ostrożnym ruchom. Każdy z nich miał wprawdzie swoją specjalność, swój własny rodzaj dolegliwości, a stąd też i własny, specyficzny chód, specyficzny sposób powłóczenia nogami, kuśtykania, utykania, a także odrębną, specyficzną mimikę, mimo to rysy wspólne przeważały, od pierwszego wejrzenia rozpoznałem w nich ischiatyków, braci, kolegów. Kto zna igraszki nerwu kulszowego nie z podręcznika, ale z własnego doświadczenia, które lekarze nazywają „sensacją subiektywną”, nie myli się w tych sprawach. Natychmiast zatrzymałem się i jałem przypatrywać się tym napiętnowanym. O dziwo – wszyscy trzej czy czterej wykrzywiali się bardziej ode mnie, mocniej wspierali się na laskach, bardziej nerwowo ściągali pośladki, stawiali stopy lękliwiej i niechętniej, wszyscy byli bardziej cierpiący, biedniejsi, bardziej schorowani i godni pożałowania niż ja, co podziałało na mnie jak najlepiej i pozostało w czasie mej badeńskiej kuracji stałą, niewyczerpaną pociechą: że dokoła mnie kuleją, czołgają się, wzdychają, jeżdżą w fotelach na kółkach ludzie, którzy są daleko bardziej chorzy ode mnie, mają nieporównanie mniej powodów do dobrego humoru i nadziei niż ja! Oto zaraz w pierwszej minucie odkryłem, na czym polega cały sekret oraz zasada wszelkich kurortów jako takich i z niekłamaną radością delectowałem się swoim odkryciem: kurort mianowicie to wspólnota cierpiących, *socios habere malorum*.

Gdy zaś opuściłem dworzec i w błogim nastroju podążyłem jedną z łagodnie opadających ku kąpielisku uliczek, każdy krok potwierdzał i podkreślał wagę cennego odkrycia: wszędzie snuli się kuracjusze, siedzieli zmęczeni i skuleni na zielono malowanych ławeczkach, gawędząc kuśtykali grupkami. Jakąś kobietę popychano na wózku, uśmiechała się ze znużeniem, trzymając w schorowanej ręce na wpół zwiędnięty kwiat, a za nią dziarsko i energicznie kroczyła kwitnąca pielęgniarzka. Starszy pan wyszedł ze sklepu, gdzie reumatycy kupują widokówki, popielniczki i przyciski do papierów (mają w tej dziedzinie ogromne potrzeby, i nigdy nie udało mi się dociec dlaczego) – otóż ów starszy pan wychodzący ze sklepu zużywał całą minutę na każdy stopień i spoglądał na leżącą przed nim ulicę tak, jak utrudzony i wyzbyty wiary we własne siły człowiek patrzy na wielkie czekające go zadanie. Młody jeszcze osobnik, w szarozielonej czapce wojskowej na szczecinowatych włosach, zamasyście, choć z wielkim mozołem posuwał się naprzód za pomocą dwóch lasek. Ach, już same te laski, które się tu wszędzie spotykało, te piekielnie poważne specjalne laski dla chorych, które u dołu kończą się rozszerzającą się gumową nakładką i niczym pijawki albo kleszcze przywierają do asfaltu! Wprawdzie i ja miałem laskę, wykwinętą trzciniową laseczkę z Malakki, z której nader chętnie korzystałem, jednak w razie potrzeby mogłem poruszać się i bez laski, i nikt nigdy nie widział mnie z żalną laską na gumie! Nie, było jasne i każdy musiał zauważyć, jak szybko i zręcznie posuwałem się tą sympatyczną ulicą, jak rzadko i dla zabawy posługiwałem się trzciniową laseczką, będącą jedynie ozdobą, ładnym rekwizytem, jak lekkie i niewinne było w moim przypadku owo znamionujące ischiatyka lęklive ściąganie mięśni ud, ledwo widoczne, ledwo pobieżnie zarysowane, jak w ogóle gracko i sprężysto kroczyłem, jak jestem młody i zdrowy w porównaniu z tymi wszystkimi starszymi, biedniejszymi, bardziej schorowanymi braćmi i siostrami, których ułomność tak wyraźnie, tak bez osłonek, tak nieubłaganie rzucała się w oczy! Czerpałem uznanie,

chłonałem aprobatę z każdego następnego kroku, czułem się już niemal zdrowy, a w każdym razie nieskończenie mniej chory niż wszyscy ci nieboracy. Tak, skoro ci na wpół sparaliżowani i kulejący, ci z laskami na gumie ufają jeszcze w wyzdrowienie, jeśli Baden może nawet im pomóc, w takim razie moja drobna, ledwie zaczynająca się dolegliwość musi tu stopnieć jak śniegi na wiosnę, w takim razie lekarz musi rozpoznać we mnie wspaniały okaz, wybitnie wdzięczny przypadek, mały cud uleczałości.

Spoglądałem przyjaźnie na owe dodające otuchy postaci, pełen współczucia i życzliwości. Z cukierni opodal wytaszczyła się teraz stara kobieta, od dawna już najwyraźniej zrezygnowała z ukrywania swego kalectwa, nie wzbraniała sobie najmniejszego odruchu, korzystała z każdego najdrobniejszego udogodnienia, z każdego pomocnego układu mięśni, i tak gimnastykowała się, balansowała i płynęła, szeroko rozciągniętym frontem, niczym foka po trotuarze, tyle że wolniej. Serce uśmiechnęło mi się do niej radośnie, piałem hymny na cześć foki, Baden i własnego pomyślnego losu. Miałem oto wokół siebie rywali, konkurentów, których biłem na głowę. Jak to dobrze, że przyjechałem tu zawczasu, zaledwie w pierwszej fazie lekkiego ischiasu, zaledwie z pierwszymi słabymi symptomami podagry! Odwracając się, wsparty na lasce, długo patrzyłem w ślad za foką, z owym dobrze znanym poczuciem błogości, które poucza nas, że język nie znalazł jeszcze stosownych wyrażen na określenie procesów psychicznych, albowiem językowe antonimy, takie jak satysfakcja z cudzej niedoli i współczucie, są tu wszak najściślej ze sobą powiązane. Mój Boże, biedaczka! Pomyśleć, że innym zdarzają się aż takie nieszczęścia!

Ale nawet w tym momencie uniesienia i dobrego samopoczucia, nawet w tej słodkiej euforii pomyślnej godziny nie umilkł we mnie do końca ów przykry głos, którego tak niechętnie słuchamy, a który tak bardzo jest nam potrzebny, głos rozsądku, a głos ten, właściwym sobie niemylm, chłodnym tonem, cicho i z ubolewaniem zwracał mi uwagę, że cały mój optymizm zasada się na błędnych podstawach, na fałszywej metodzie, że mianowicie z uczuciem wdzięczności porównywałem siebie, lekko tylko wspierającego się na trzcinowej laseczce literata, z każdą sparaliżowaną, ciężko utykającą i kaleką postacią, zapomniałem natomiast wziąć pod uwagę nieskończoną skalę symptomów, która rozciąga się poza mną, nie dostrzegałem w ogóle osobników młodszych, prostszych, bardziej krzepkich i zdrowszych ode mnie. A raczej – nawet ich dostrzegałem, ale wzbraniałem sobie porównywać się z nimi, ba – w ciągu pierwszego i drugiego dnia żywiłem nawet prostackie przekonanie, że wszyscy ci ludzie, którzy spacerują sobie bez laski i bez widocznych oznak niedowładu lub utykania, z zadowoleniem na twarzach, bynajmniej nie są mymi braćmi i towarzyszami, nie są kuracjuszami i konkurentami, ale normalnymi, zdrowymi mieszkańcami miasta. Że mogą istnieć ischiatycy, którzy poruszają się bez laski i bez kurczowych gestów, że jest wielu podagryków, u których na ulicy nikt, nawet psycholog, nie domyśli się choroby, że ja ze swym lekko zdeformowanym chodem i trzcinową laseczką bynajmniej nie znajduję się w pierwszym, niewinnym, początkowym stadium choroby przemiany materii, że wywołuję nie tylko zazdrość ze strony prawdziwych paralityków i kalek, ale i drwiące współczucie ze strony niezliczonych kolegów, którym ja z kolei służę w charakterze pociechy i foki, krótko mówiąc: że ze swoimi przenikliwymi obserwacjami i porównaniami stopnia schorzenia nie uprawiam obiektywnych badań, a jedynie optymistyczne samooszukiwanie się – to dotarło do mnie, z powolnością właściwą poznaniu, dopiero po wielu dniach.

Chłonałem tedy pełną piersią szczęście pierwszego dnia, urządziłem orgie naiwnej pewności siebie, i czyniłem słusznie. Wodząc wzrokiem za zewsząd wynurzającymi się sylwetkami współkuracjuszy, moich chorych braci, pochlebiony widokiem każdej kaleki, prowokowany przez każdy napotkany fotel na kółkach do radosnej litości, do współczującego zadowolenia z siebie, wędrowałem w dół ulicy, tej tak wygodnej, tak korzystnie usytuowanej ulicy, którą zwozi się przybywających gości z dworca ku kąpielisku i która łagodnymi zakolami, miękkim, równomiernie opadającym zboczem schodzi do starego kąpieliska i tam w dole, niczym wysychająca rzeka, gubi się w wejściach do hotelów. Pełen otuchy i radosnych nadziei zbliżyłem się do „Heiligenhof”, gdzie zamierzałem się zakwaterować. Trzeba tylko wysiedzieć te trzy-cztery tygodnie, codziennie zażywać kąpeli, jak najwięcej spacerować, podniecenie i troski trzymać na dystans. Zapewne niekiedy będzie to nieco monotonne, nie uniknie się nudy, bo nakazem miejsca jest odwrotność intensywnego życia, a ja, stary samotnik, któremu wszelkie formy życia stadnego i hotelowego są wstrętne i przychodzą z największym trudem, będę musiał stawić czoła pewnym niedogodnościom oraz z tym i owym się pogodzić. Ale bez wątpienia to nowe, dla mnie całkiem niezwykle życie, mimo swego cokolwiek mieszczańskiego, cokolwiek mdłego zabarwienia, przyniesie również doświadczenia miłe i zajmujące – czyż po latach spokojnego życia na odludziu, w wiejskiej samotni, wśród studiów, nie przyszła pora, aby trochę pobycć między ludźmi? I, co najważniejsze: spoza niedogodności, spoza zaczynających się tygodni kuracji wyzierał dzień, kiedy dziarsko pomaszeruję w górę tej samej ulicy, opuszczę ten hotel, kiedy odmłodzony i uzdrowiony, sprężysty w kolanach i biodrach, pożegnam kąpielisko i tanecznym krokiem udam się na dworzec.

Szkoda tylko, że akurat w chwili, gdy przekraczałem próg „Heiligenhof”, zaczęło trochę padać.

– Przynosi pan złą pogodę – powitała mnie z śmiechem nader uprzejma panienska w biurze.

– No tak – odrzekłem bezradnie. Jakże? Czy to naprawdę ja, myślałem, wywołałem ten deszcz, ja go tu sprowadziłem? Fakt, że przemawiało przeciwko temu potoczne doświadczenie, nie mógł mnie, teologa i mistyka, rozgrzeszyć. Tak, przecież los i usposobienie to nazwy jednego i tego samego pojęcia, przecież w pewnym sensie ja sam wybrałem sobie i stworzyłem swoje imię, stan, wiek, swoją twarz, swój ischias, i nie mogę zrzucić odpowiedzialności na nikogo innego, i tak samo rzecz się miała z deszczem. Byłem gotów wziąć go na siebie.

Podzieliwszy się tym z panienką i wypełniwszy kartę meldunkową, wdałem się w owe pertraktacje co do pokoju, których normalny człowiek nie zna, których zmory naiwny szczęściarz nie przeczuwa, których cała groza wiadoma jest tylko zagnanemu w obce kąty, a przywykłemu do samotności i głębokiej ciszy oraz cierpiącemu na bezsenność eremicie i pisarzowi.

Wziąć pokój hotelowy to dla normalnego człowieka drobiazg, codzienny, w żadnym razie nie obciążony emocjami akt, z jakim w dwie minuty można się uporać. Dla nas, cierpiących na bezsenność, neurotyków i psychopatów ten banalny akt, przeładowany bez miary wspomnieniami, uczuciami i fobiami, jest torturą. Uprzejmy właściciel hotelu, sympatyczna recepcjonistka, którzy na usilne nalegania z naszej strony pokazują nam i polecają „cichy pokoik”, nie mają pojęcia o nawale skojarzeń, obaw, nut ironii i autoironii, jakie wywołuje w nas to fatalne słowo. O, jak dobrze, jak okrutnie dokładnie, jak przerażająco do głębi znamy te ciche pokoje, te stacje najgorszej męki, najdotkliwszych klęsk, najszybszej hańby! Jak fałszywie i podstępnie, jak demonicznie patrzą na nas te uprzejme meble, życzliwe dywany i pogodne tapety! Jak złowieszczo szczerzą zęby owe zaryglowane drzwi, łączące z sąsiednim pokojem, a znajdujące się siłą fatalności w większości „cichych pokoików”, często świadome swej okropnej roli i dlatego wstydliwie skryte za zasłoną! Z jakim bólem i rezygnacją spoglądamy na białe tynkowane sufity, który przy wstępnych oględzinach zawsze ziejemy milczącą pustką, aby później wieczorem i rano dudnić krokami lokatorów z góry – ach, bodaj to tylko krokami, to znani, a przeto nie najgroźniejsi wrogowie! Nie, spoza tej niewinnie białej kulisy, podobnie jak przez cienkie drzwi i ściany, atakują nieodgadnione dźwięki i wibracje, rzucane na ziemię buty, upadające laski, potężne rytmiczne wstrząsy (świadczące o ćwiczeniach gimnastycznych dla higieny), przewracane krzesła, spadająca z nocnego stolika książka albo szklanka, przesuwane kufry i meble. A do tego ludzkie głosy, konwersacje i rozmowy z samym sobą, kaszel, śmiech, chrapanie! A ponadto, gorsze niż to wszystko, nieznanym, niewytłumaczalnym dźwiękiem, wszystkie te dziwne, upiorne odgłosy, których nie umiemy wyjaśnić, których przyczyny i domniemanego czasu trwania nie umiemy odgadnąć, owe duchy stukające i tłukące się, wszystkie te trzaski, uderzenia, szmery, podmuchy, przeciągi, szelesty, wzdychania, skrzypnięcia, postukiwania,

bulgotania – Boże, cóż za przebogata niewidzialna orkiestra pomieścić się może na paru metrach kwadratowych hotelowego pokoju!

Wybór pokoju jest zatem dla takich osób nad wyraz delikatnym, ważnym, a zarazem dość beznadziejnym przedsięwzięciem, trzeba mieć na uwadze tysiące różnych rzeczy. W jednym pokoju źródłem akustycznych niespodzianek będzie szafa w ścianie, w drugim kaloryfer, w trzecim grający na okarynie sąsiad. I skoro doświadczenie poucza, że żaden na świecie pokój nie zapewni nam tej z głębi serca upragnionej ciszy i gwarancji snu, że z pozoru najspokojniejszy pokój kryje niespodzianki (czyż nie zdarzyło mi się już raz zamieszkać, dla uniknięcia mąciocieli spokoju nad sobą albo obok siebie, w samotnym pokoju służbowym na piątym piętrze i czy nie okazało się, że w braku istot ludzkich, na poddaszu nade mną szaleją szczury?) – czy nie powinno się wobec tego ostatecznie zrezygnować z wyboru, rzucić się głową naprzód na spotkanie przeznaczenia i zdać się na przypadek? Zamiast dręczyć się i kłopotać, a potem i tak doznać rozczarowania i ze smutkiem przyjąć to, co nieuniknione, czyż nie roztropniej zdać się na ślepy los i przyjąć pierwszy lepszy z oferowanych pokoi? Zapewne, tak jest roztropniej. A jednak tak nie postępujemy, albo postępujemy tak bardzo rzadko, albowiem gdyby naszymi uczynkami i zaniechaniami kierować miały roztropność i unikanie irytacji – jak wówczas wyglądałoby nasze życie? Czyż nie wiemy, że nasz los jest nam przyrodzony i dany nieodwołalnie, i czyż nie czepiamy się mimo to żarliwie i zawzięcie złudzenia wyboru, iluzji wolnej woli? Czy każdy z nas, wybierając sobie lekarza, zawód i miejsce zamieszkania, kochankę i narzeczoną, nie mógłby równie dobrze albo i z lepszym skutkiem pozostawić tego przypadkowi – i czy mimo to nie wybiera, nie wkłada we wszystkie te sprawy morza cierpień, trudów, frasunku? Może czyni tak z naiwności, w dziecinnym zapale, wierząc w swoją moc sprawczą, w przeświadczeniu, że los podatny jest na sugestie; może też czyni to ze sceptycyzmem, głęboko przekonany o daremności swoich wysiłków, ale równie przekonany, że uczynki i dążenia, wybór i udręka są piękniejsze, żywsze, zdrowsze albo przynajmniej bardziej zabawne niż zastyganie w

zrezygowanej bierności. Otóż tak właśnie postępuję ja, śmieszny klient hotelowy, gdy wbrew najgłębszemu przekonaniu o daremności i błazeńskiej absurdalności mych poczynań, za każdym razem wiodę długie pertraktacje w sprawie wyboru pokoju, skrupulatnie wypytyję o sąsiadów, o drzwi i podwójne drzwi, oraz o całą resztę. Jest to poniekąd gra, pewien rodzaj sportu, kiedy w tej drobnej, powszedniej kwestii wciąż na nowo zawierzam złudzeniu, fikcyjnej regule, jakoby sprawy tego typu w ogóle podlegały racjonalnemu podejściu i były tego warte. Postępuję wówczas równie rozsądnie albo równie głupio jak dziecko przy kupowaniu łakoci albo jak gracz, który obstawia zgodnie z matematycznymi wyliczeniami. W takich sytuacjach wiemy dokładnie, że stoimy wobec czystego przypadku, a mimo to z głębokiej duchowej potrzeby postępujemy tak, jak gdyby przypadku nie było i nie powinno być, jak gdyby wszystko na świecie poddawało się naszemu racjonalnemu myśleniu i porządkowaniu.

Toteż dokładnie omawiam z uprzejmą panią pięć czy sześć wolnych pokoi. O jednym dowiaduję się, że obok mieszka skrzypaczka, która ćwiczy co dzień przez dwie godziny – cóż, to w każdym razie jakaś informacja, mając teraz już mniej możliwości do wyboru kieruję się maksymalną odległością od rzeczonoego pokoju i piętra. W kwestii akustycznych warunków i możliwości hotelu odznaczam się wrażliwością i intuicją, jakich należałoby szczerze życzyć niejednemu architektowi. Krótko mówiąc poczyniłem niezbędne kroki, racjonalne kroki, działałem przezornie i skrupulatnie, jak musi działać człowiek nerwowy przy szukaniu pokoju, ze zwykłym rezultatem, który dałoby się sformułować tak oto: „Wprawdzie to się na nic nie zda, i naturalnie spotkają mnie w tym pokoju te same przygody i rozczarowania, co w każdym innym, ale w każdym bądź razie spełniłem swój obowiązek, zadałem sobie trud, reszta w ręku Boga”. I zarazem, jak zwykle w podobnych przypadkach, odezwał się we mnie inny, cichszy głos, z głębi mej istoty: „Czy nie byłoby lepiej pozostawić wszystkiego Bogu i zrezygnować z całego tego cyrku?” Słyszałem ten głos, jak zwykle, a jednak go nie słyszałem, i ponieważ byłem akurat w dobrym humorze, procedura przebiegła przyjemnie, z zadowoleniem zobaczyłem, jak mój kosz podróżny znika w numerze 65 i oddaliłem się, bo na tę godzinę umówiony byłem u doktora.

O dziwo, i tu wszystko poszło dobrze. Teraz mogę już wyznać, że trochę było mi strach przed tą wizytą, nie iżbym się obawiał miażdżącej diagnozy, ale dlatego że lekarze należą według mnie do duchowej hierarchii, że przyznają lekarzowi wysoką rangę i z trudem znoszą rozczarowanie, jakie z łatwością przyjąłbym w kontakcie z urzędnikiem kolejowym lub bankowym, a nawet adwokatem. Od lekarza – sam dobrze nie wiem dlaczego – oczekuję resztek owego ducha humanizmu, do którego należy znajomość łaciny i greki oraz pewne filozoficzne obycie, a który nie jest już potrzebny w większości zawodów dzisiejszego świata. Pod tym względem, choć skądinąd radośnie witam rzeczy nowe i rewolucyjne, jestem ponad miarę zacofany, od wyżej wykształconych stanów żądam pewnego idealizmu, pewnej gotowości do zrozumienia i dialogu, całkiem niezależnie od korzyści materialnych, krótko mówiąc odrobiny humanizmu, choć wiem, że humanizm ten w rzeczywistości już nie istnieje i że nawet właściwą humanistom aparycję niebawem spotkać będzie można tylko w gabinetach figur woskowych.

Po krótkim czekaniu zostałem wprowadzony, bardzo piękny, ze smakiem urządzony pokój natychmiast wzbudził moje zaufanie. Lekarz wyszedł do mnie z sąsiedniego pomieszczenia, skąd przed chwilą dobiegały zwykle w takich okolicznościach odgłosy pluskania wody, inteligentna twarz obiecywała zrozumienie, na powitanie, jak przystało cywilizowanym bokserom przed walką, uścisnęliśmy sobie ręce. Rozpoczęliśmy pojedynek ostrożnie, wymacywaliśmy się wzajemnie, próbowaliśmy z wahaniem pierwszych ciosów. Na razie znajdowaliśmy się na terenie neutralnym, dysputa dotyczyła przemiany materii, diety, wieku, przebytych chorób i ociekała niewinnością, jedynie krzyżujące się przy poszczególnych słowach spojrzenia świadczyły o gotowości do starcia. Lekarz miał w swoim repertuarze kilka wyrażen z tajemnego języka medycznego, które mogłem rozszyfrować tylko w przybliżeniu, które jednak bardzo korzystnie zdobyły jego wypowiedzi i dawały mu wyraźną przewagę. Niemniej jednak już po kilku minutach było dla mnie jasne, że przy tym lekarzu nie należy obawiać się owego okrutnego rozczarowania, jakie ludziom mego pokroju grozi szczególnie ze strony doktorów: że za ujmującą fasadą inteligencji i obycia natkną się na sztywny dogmatyzm, którego pierwsze twierdzenie postuluje, iż poglądy, sposób myślenia i terminologia pacjenta to zjawiska czysto subiektywne, natomiast poglądy, sposób myślenia i terminologia lekarza to wartości ściśle obiektywne. Nie, tu miałem do czynienia z lekarzem, o którego zrozumienie warto było walczyć, który nie tylko jest przepisowo inteligentny, ale nadto w stopniu nie dającym się na razie określić mądry, czyli posiadający żywe wyczucie względności wszelkich wartości duchowych. Wśród ludzi wykształconych i bystrych zdarza się co chwila, że jeden uznaje mentalność, język, dogmaty i mity drugiego za rzeczy subiektywne, za czyste przymiarki, przelotne metafory. Ale żeby przyjąć to samo w stosunku do siebie i do siebie zastosować oraz zarówno sobie, jak przeciwnikowi przyznać prawo do własnego, określonego od wewnątrz i koniecznego sposobu myślenia i języka, to

jest żeby dwoje ludzi wymieniało poglądy i zdawało sobie sprawę z ułomności swych narzędzi, z wieloznaczności słów, z niemożliwości naprawdę ścisłego wyrażenia myśli, a więc i z konieczności intensywnych ustępstw, wzajemnej serdecznej uprzejmości i intelektualnej rycerskości – ta fortuna, między istotami myślącymi zdawałoby się oczywista sytuacja zachodzi w praktyce tak żałośnie rzadko, że wszelkie zbliżenie do niej, wszelkie choćby cząstkowe jej urzeczywistnienie witamy z entuzjazmem. Otóż teraz, w kontakcie ze specjalistą od chorób przemiany materii, zarysowało się coś na kształt możliwości takiego porozumienia i wymiany.

Badanie, z wyjątkiem analizy krwi i rentgena, przyniosło krzepiące wyniki. Serce w normie, oddech doskonały, ciśnienie bardzo przyzwoite, stwierdzono natomiast nieomylnie objawy ischiasu, zaczątki podagry i dość naganny stan całej muskulatury. W naszej rozmowie nastąpiła mała przerwa, gdy doktor znowu mył sobie ręce.

Zgodnie z oczekiwaniami w tym momencie nastąpił zwrot, opuściliśmy teren neutralny, mój partner przeszedł do ofensywy, zadając ostrożnie zaakcentowane, pozornie niedbałe pytanie: „Nie sądzi pan, że pańskie dolegliwości mogą mieć po części przyczyny psychiczne?” A więc tak, moje oczekiwania, moje przeczucia sprawdziły się. Obiektywny stan rzeczy nie tłumaczył bez reszty nakładu cierpień, zachodziła podejrzana nadwyżka wrażliwości, moja subiektywna reakcja na bóle podagryczne nie odpowiadała przewidzianej normie, rozpoznano we mnie neurotyka. A zatem do boju!

Równie ostrożnie, równie niejako mimochodem świadczyłem, że nie wierzę w cierpienia i stany „o podłożu psychicznym”, że w mojej osobistej biologii i mitologii „psychika” nie jest czynnikiem ubocznym obok fizyczności, ale władzą nadrzędną, że zatem samopoczucie, wszelkie doznania przyjemności i bólu, także wszelkie choroby, wszelkie nieszczęśliwe wypadki i śmierć wywodzę z duszy. Jeżeli w stawach palców zaczynają mi się tworzyć podagryczne węzły, to jest to plastyczna manifestacja mojej duszy, dostojnej zasady życiowej, tkwiącego we mnie *id*. Cierpienie duszy może się wyrażać rozmaicie, u jednego przybiera formę kwasu moczowego i szykuje zniszczenie jaźni, u innego tę samą funkcję spełni jako głód alkoholowy, u trzeciego zaś zagęści się w kruszynę ołowiu, która nagle wtargnie do jego czaszki. Przyznałem zarazem, że zakres możliwości niosącego pomoc lekarza w większości przypadków musi ograniczać się do wykrycia zmian materialnych, czyli wtórnych, i zwalczania ich także materialnymi środkami.

Również teraz liczyłem się z tym, że lekarz zostawi mnie na lodzie. Nie powie wprawdzie: „Szanowny panie, wygaduje pan głupstwa”, ale może z uśmiechem o numer zbyt wyrozumiałym przytaknie, rzuci banalne zda ko o wpływie nastrojów, zwłaszcza na duszę artystyczną, ponadto może jeszcze sięgnie po fatalne słówko „imponderabilia”. Słowo to jest kamieniem probierczym, czułą wagą kryteriów duchowych, które przeciętny uczony już same w sobie zowie „imponderabilnymi”, czyli nieuchwytnymi. Do tego poręcznego słówka ucieka się zawsze wówczas, gdy chodzi o określenie i opisanie tych przejawów życia, dla których dostępnej materialnej aparaturze pomiarowej nie dostaje precyzji, a mówiącemu dobrej woli i wrażliwości. Przyrodoznawca wie na ogół niewiele, między innymi nie wie, że właśnie ze względu na te ulotne, ruchome wartości, które zowie „nieuchwytnymi”, w innej sferze wykształcono znakomite metody pomiaru i wyrazu, że zarówno Tomasz z Akwinu, jak Mozart, każdy w swoim języku, nie robili nic innego, tylko z niebywałą precyzją wazyli te tak zwane imponderabilia. Czy mogłem od uzdrowskiego lekarza, choćby nawet był w swej dziedzinie feniksem, oczekiwać tej czulej wiedzy? Ale cóż, właśnie tego mimo wszystko oczekiwałem i o dziwo nie doznałem rozczarowania. Spotkałem się ze zrozumieniem. Ten człowiek zorientował się, że w mojej osobie nie styka się z obcą dogmatyką, ale z grą, sztuką, muzyką, gdzie nie można już mieć racji ani się o nią spierać, tylko poddać się rytmowi albo odpaść. Lekarz nie odpadł, spotkałem się ze zrozumieniem i uznaniem, nie iżby uznano moją rację, bo też nie chciałem jej mieć – zaakceptowano mnie jako poszukującego, myślącego, jako partnera z przeciwległego bieguna, jako kolegę z innego, odległego, ale mającego swoje prawa fakultetu. Teraz mój dobry humor, spotęgowany już po otrzymaniu doskonałej cenzurki za ciśnienie i oddech, sięgnął szczytów. Niech się dzieje co chce z deszczem, ischiasem, kuracją – nie byłem wydany na pastwę barbarzyńcy, miałem przed sobą człowieka, kolegę, mężczyznę o

elastycznej, subtelnej umysłowości! Nie, nie liczyłem na to, że będę z nim wiódł częste i długie rozmowy, roztrząsał problemy. Nie, to wcale nie było konieczne, choć mile jako możliwość; wystarczyło mi, że człowiek, któremu na jakiś czas pozwalam sobą rządzić i którego muszę obdarzyć zaufaniem, posiadał w moich oczach świadectwo ludzkiej dojrzałości. Nawet jeżeli doktor uważa mnie dziś za wprawdzie duchowo rozgarniętego, ale niestety z lekka neurotycznego pacjenta, nadejście może godzina, kiedy dotrze również do wyższych pięt mego domostwa, gdzie moja głęboka wiara i najgłębsza filozofia rozpoczną zabawę i walkę z jego wiarą i filozofią. Może wówczas i moja teoria neurozy, oparta na Nietzschem i Hamsunie, postąpi krok dalej. Ale wszystko jedno, to nie takie ważne. Traktować charakter neurotyczny nie jako chorobę, ale jako wprawdzie bolesny, lecz w najwyższym stopniu pozytywny proces sublimacji – to piękna myśl. Ważniejsze jest jednak żyć tą myślą, niż ją formułować.

Pożegnałem doktora zadowolony i zaopatrzonego w rozliczne wskazówki co do kuracji. Karteluszek, który miałem w portfelu i którego zaleceń miałem przestrzegać poczynając od jutra rano, obiecywał mi rozmaite rzeczy dobrotliwe i zabawne: kąpiele, picie wód, diatermię, lampy kwarcowe, gimnastykę zdrowotną. Nudy nie należało się więc aż tak bardzo obawiać.

Dzięki memu gospodarzowi również wieczór tego pierwszego dnia kuracji upłynął miło i osiągnął apogeum. Kolacja, która ku memu zdumieniu zmieniła się w ucztę w wielkim stylu, przyniosła tak schlebające podniebieniu, od lat już mi nie znane dania jak *gnocchi* z wątróbką drobiową, *Irish stew*, lody poziomkowe. A potem zasiadłem z gospodarzem przy butelce czerwonego wina, gawędząc z ożywieniem, w pięknej staroświeckiej izbie, przy starym, ciężkim stole z orzechowego drzewa, i cieszyłem się, że w obcym człowieku odmiennego pochodzenia, zawodu, ambicji, stylu życia znajduję oddźwięk, że mogę uczestniczyć w jego troskach i radościach, że podziela on wiele z moich poglądów. Nie wdawaliśmy się w górnolotne frazesy, ale szybko odnaleźliśmy płaszczyzny kontaktu i odnosiliśmy się do siebie wzajem z otwartością, która łatwo przeradza się w sympatię.

W czasie krótkiego spaceru przed pójściem spać patrzyłem, jak gwiazdy odbijają się w kałużach, patrzyłem, jak nocny wiatr porusza koronami kilku wyjątkowo pięknych starych drzew nad brzegiem mocno szumiącej rzeki. Jutro też będą piękne, ale w tym momencie miały tę magiczną, niepowtarzalną urodę, która wypływa z naszej własnej duszy i która – jak powiadają Grecy – rozbłyskuje w nas wtedy, gdy padło na nas spojrzenie Erosa.

PORZĄDEK DNIA

Chcąc opisać typowy przebieg kuracyjnego dnia, słusznie zrobię wybierając dzień przeciętny, dzień bez wyrazistego oblicza, taki na wpół chmurny, na wpół pogodny normalny dzień bez szczególnych wydarzeń zewnętrznych oraz bez szczególnych zapowiedzi i oczarowań wewnętrznych. Albowiem naturalnie zdarzają się tutaj, i to nie tylko nerwowym literatom, ale całej gromadzie ischiatyków, w zależności od stanu i postępów kuracji, dni pełne dolegliwości i depresji oraz lekkie, łagodne dni dobrego samopoczucia i rozkwitającej nadziei, dni, kiedy poruszamy się w podskokach, i takie, kiedy ledwo powłóczymy nogami albo smętnie zostajemy w łóżku.

Ale choćbym poświęcił nie wiem ile trudu na skonstruowanie równomiernie temperowanego dnia przeciętnego, normalnego mieszczańskiego dnia ot takiego sobie, nie oszczędzi mi to przykrego dla mnie wyznania, albowiem każdy dzień, a co dopiero dzień kuracyjny, zaczyna się na nieszczęście od poranka. Zupełnie nie wiem, co począć z tyle sławionym w przepięknych poematach porankiem, a wiąże się to zapewne z największym moim niedostatkim i przywarą, marnym snem, skądinąd zaś odpowiada pod każdym względem mojej naturze, mojej filozofii, mojemu temperamentowi i charakterowi. To wstyd, i z trudem przychodzi mi to wyznać, ale jaki sens miałoby pisanie, gdyby nie stała za nim wola prawdy? Poranek, słynna pora świeżości, początku, młodzieńczego porywu, to dla mnie pora fatalna, markotna i przykra, nie lubimy się wzajemnie. Nie brak mi zresztą zrozumienia dla owej promiennej radości porannej, mogę się w to wczuć, gdy rozbrzmiewa tak orzeźwiająco i jasno w tyłu wierszach Eichendorffa i Mörikego, w wierszach, w obrazach i we wspomnieniach odczuwam poranek równie poetycznie, a z dzieciństwa pozostało mi coś jakby na wpół zatarte wspomnienie autentycznie radosnych poranków, choć od wielu lat z całą pewnością nie byłem rano prawdziwie wesół. I nawet w na dźwięczniejszym hołdzie dla rzeźwej porannej ochoty, jaki znam, w kompozycji Wolfa do wiersza Eichendorffa „Poranek, radosna godzina”, słyszę jakiś odległy dysonans, gdyż choć tak pięknie to brzmi i choć poranny nastrój Eichendorffa mnie przekonywa, nie mogę do końca uwierzyć w poranną radość Hugona Wolfa, pozwolił tu sobie na melancholijnie poetyckie, cikliwe, a nie szczerze przeżyte uwielbienie. Wszystko, co sprawia, że moje życie jest ciężkim, trudnym i niebezpiecznym, a nawet brzydkim problemem, rano odzywa się zbyt donośnie, rysuje się w zbyt monumentalnych wymiarach. Wszystko, co czyni moje życie słodkim, pięknym i niezwykłym, wszelkie łaski, wszelkie uroki, wszelka muzyka są rano dalekie i ledwo widoczne, niepewne jak baśń i legenda. Z nadto płytkiego grobu mego snu,

marnego, krótkiego i często przerywanego, podnoszę się rano zgoła nie uskrzydłony uczuciem zmartwychwstania, lecz ociężały, zmęczony i wylękły, bez żadnej osłony i pancerza przed nacierającym światem, który wszystkie swoje wibracje przekazuje moim wyczulonym porannym nerwom jakby za pośrednictwem potężnej aparatury wzmacniającej, ryczy do mnie przez megafon. Dopiero od południa życie staje się znowu znośne i dobre, a w szczęśliwe dni późnym popołudniem i wieczorem staje się cudowne, promienne, roziskrzane, wewnętrznie nasycone żarem boskiej światłości, pełne miary i harmonii, pełne czaru i muzyki, i złotem wynagradza mi tysięczne złe chwile.

W innym miejscu zamierzam powiedzieć przy okazji, dlaczego bezsenność i owa poranna melancholia wydaje mi się nie tylko chorobą, ale także przywarą, dlaczego wstydę się tego, a zarazem czuję, że tak być musi, że nie mogę tych rzeczy zanegować, zapomnieć ani też zewnętrznie „uleczyć”, tylko potrzebuję ich jako siły napędowej i wciąż ponawianej podniety dla mego prawdziwego życia i jego zadań.

Pod tym względem badeński dzień kuracyjny przewyższa zwykłe dni życia: oto w czasie kuracji każdy dzień zaczyna się od ważnego, centralnego porannego obowiązku i zadania, a zadanie to łatwo, a nawet przyjemnie jest wypełniać. Mam na myśli kąpiel. Kiedy budzę się rano, wszystko jedno o której godzinie, pierwszym moim zadaniem nie jest coś ciężkiego, jak toaleta, gimnastyka albo golenie się lub czytanie poczty, lecz kąpiel, przedsięwzięcie łagodne, gładkie, pełne ciepła. Z lekkim zawrotem głowy wyprostowuję się na łóżku, za pomocą ostrożnych ćwiczeń wprawiam ponownie w ruch zardzewiałe kończyny, wstaję, narzucam szlafrok i kroczę powoli przez na wpół ciemny, milczący korytarz do windy, która przez wszystkie piętra zwozi mnie do kabin kąpielowych w piwnicy. Tu, na dole, jest bardzo pięknie.

Pod kamiennym, bardzo starym, rozbrzmiewającym łagodnymi echem sklepieniem panuje stale cudownie miękkie ciepło, bo wszędzie sączy się woda ze źródeł, za każdym razem przejmuję mnie tu tajemna, rozgrzewająca atmosfera jaskini, tak jak w dzieciństwie, kiedy urządziłem sobie jaskinię ze stołu, dwóch krzeseł i kilku dywaników. W zarezerwowanej dla mnie kabinie czeka na mnie głęboki, wpuszczony w ziemię obmurowany basen, napełniony gorącą wodą wprost ze źródeł, wchodzę wolno, po dwóch kamiennych stopniach, przekręcam zegar piaskowy i zanurzam się aż po brodę w gorący strumień, wydzielający lekką woń siarki. Wysoko nade mną, u beczkowego sklepienia kabiny o grubych ścianach, która bardzo przypomina celę klasztorną, przez matowo oszklone okienko przenika wątłe światło dnia; tam w górze, piętro wyżej, za mleczną szybą, leży świat, daleki, mlecznie zamglony, nie dociera do mnie stamtąd żaden dźwięk. A wokół rozpościera się cudowne ciepło tajemniczej wody, która od tysięcy lat spływa z nieznanych kuchni ziemi i słabym strumieniem wlewa się do mojej wanny. Wedle instrukcji powinienem się w wodzie możliwie dużo poruszać, wykonywać ruchy gimnastyczne i pływackie. I z obowiązku tak też czynię, przez kilka minut, ale potem wyciągam się nieruchomo, zamykam oczy, zapadam w drzemkę, przyglądam się, jak w klepsydrze cicho i nieustannie przesypują się ziarenka piasku.

Na brzegu basenu leży zwiędły liść, musiał wpaść przez okno, mały listek z drzewa, którego nazwy sobie nie przypominam, patrzę na niego, odczytuję pismo jego żyłek i nerwów, napawam się tym tak osobliwym znakiem przemijalności, która przejmuję nas zgrozą, a bez której wszak nie byłoby piękna. Przedziwne, jak piękno i śmierć, rozkosz i przemijanie wzajem się wspierają i warunkują! Wyraźnie, jak coś namacalnego, wyczuwam wokół siebie i w sobie granicę między naturą a duchem. Kwiaty są przemijalne i piękne, a złoto trwałe i nudne, i podobnie wszelkie drgnięcia naturalnego życia są przemijalne i piękne, nieprzemijalny i nudny jest za to duch. W tej godzinie odrzucam ducha, nie jest dla mnie życiem wiecznym, tylko wieczystą śmiercią, czymś skostniałym, jałowym i bezkształtnym, co może stać się kształtem i życiem tylko za cenę swej nieśmiertelności. Złoto musi stać się kwiatem, duch musi stać się ciałem i duszą, aby móc żyć. Nie, w tej ciepłej porannej godzinie, między klepsydrą i zwiędłym liściem, nie chcę nic wiedzieć o duchu, którego w innej porze gotów jestem wielbić, chcę być przemijalny, chcę być dzieckiem i kwiatem.

O tym, że jestem przemijalny, przypomina mi, po dwóch kwadransach leżenia w ciepłej strudze, moment powstania. Dzwonię, przychodzi pielęgniarz i podaje mi nagrzaną ręcznik. Podnoszę się w wodzie, i poczucie przemijalności przenika obezwładniającą wszystkie moje członki, kąpiele te bowiem bardzo męczą, i kiedy po trzydziestocztery czterdziestominutowej kąpiele chcę się podnieść, kolana i ramiona słuchają mnie opornie i niechętnie. Wyczołgawszy się z basenu, owijam sobie ręcznik wokół barków, chcę się porządnie wytrzeć, chcę wykonać kilka energicznych ruchów, aby się orzeźwić – i nie mogę, opadam na krzesło, czuję się jakbym miał dwieście lat, i trzeba sporo czasu, nim zdołam wstać, naciągnąć koszulę i szlafrok oraz zebrać się do odejścia.

Powoli, na miękkich kolanach, przez sklepiony korytarz, gdzie zza drzwi kabin tu i ówdzie szmerze woda, idę do siarczanego źródła, które tryska i gotuje się za szybą między kamieniami pokrytymi żółtawym osadem. Ze źródłem tym związana jest zagadkowa historia. Na krawędzi kamiennego ujęcia stoją do użytku gości zawsze dwie szklanki, a raczej – i na tym polega cała historia – nie stoją, i kolejny kuracjusz, który spragniony przybywa do źródła, musi przekonać się, że obie szklanki znowu znikły. Kuracjusz potrząsa wtedy głową, o ile po kąpielu w ogóle jest w stanie wykonać taki ruch, woła obsługę, i niebawem pojawia się a to służący, a to kelner, a to pokojówka lub kąpielowa, a to windziarz, i wszyscy potrząsają głową, i nie pojmują, gdzie też znowu podziały się te niesamowite szklanki. Co śpieszniej przynosi się za każdym razem nową szklankę, kuracjusz napełnia ją wodą, wypija, stawia na krawędzi i odchodzi – a jeśli wróci za dwie godziny, aby raz jeszcze sobie łyknąć, po szklance znów ani śladu. Spośród obsługi, której ta zagadkowa historia ze szklankami mocno daje się we znaki i przysparza roboty, każdy podsuwa własne wyjaśnienie znikania szklanek, które to wyjaśnienia jednakże nie są bynajmniej przekonujące. Windziarz na przykład uważa naiwnie, że goście zabierają szklanki do pokoi. Ale w takim razie znajdowałaby je tam codziennie pokojówka! Jednym słowem, sprawa pozostaje niewyjaśniona, a mnie samemu zdarzyło się już z osiem czy dziesięć razy, że musiano przynosić mi nową szklankę. Jako że nasz hotel ma około osiemdziesięciu gości i jako że kuracjusze ci, poważni starsi państwo z podagrą i reumatyzmem, przypuszczalnie nie kradną szklanek, skłonny jestem przyjąć, że szklanki zabiera albo jakiś patologiczny kolekcjoner, albo istota nieludzka, demon źródła lub smok, może po to, by ukarać ludzi za bezwzględną eksploatację źródła, i może kiedyś jakieś zagubione w sklepionych podziemiach dziecko szczęścia znajdzie wejście do ukrytej groty, gdzie piętrzyć się będzie stos naczyń, gdyż wedle moich ostrożnych szacunków w ciągu jednego tylko roku powinno się tam zbierać co najmniej dwa tysiące szklanek.

Napełniam tedy szklanke u źródła i z przyjemnością piję gorącą, gęstawą wodę. Przeważnie zajmuję przy tym pozycję siedzącą i z najwyższym trudem decyduję się znowu powstać na nogi. Wlokę się do windy, z miłą wizją spełnionego obowiązku i zasłużonego wypoczynku w głowie, albowiem uporawszy się z kąpielą i piciem faktycznie wypełniłem najważniejsze zalecenia dnia. Tymczasem jest jeszcze bardzo wczesnie, najwyżej siódma albo wpół do ósmej, i dałbym wszystko za to, by czarodziejskim sposobem móc zmienić godziny poranne na wieczorne.

Na chwilę wprawdzie przychodzi mi z pomocą kolejna reguła kuracyjna, która po kąpeli nakazuje mi wrócić do łóżka. Memu sennemu zmęczeniu kąpielą bardzo to dogadza, ale o tej porze życie hotelowe już się zaczęło, posadzki skrzypią od pośpiesznych kroków sprzątaczek i pokojówek roznoszących śniadania, drzwi trzaskają.

O śnie dłuższym niż kilka minut nie ma co marzyć, gdyż nie zostały jeszcze wynalezione antyfony, które by naprawdę chroniły nadto czujne, wyrafinowane ucho.

Niemniej jednak miło jest raz jeszcze się wyciągnąć, raz jeszcze przymknąć oczy, nie myśleć jeszcze o idiotycznych czynnościach, których wymaga od nas poranek: o idiotycznym ubieraniu się, idiotycznym goleniu, idiotycznym wiązaniu krawata, mówieniu „dzień dobry”, czytaniu poczty, zdecydowaniu się na jakieś zajęcie, uruchomieniu całej maszynerii życia.

Tymczasem leżę w łóżku, słyszę, jak lokatorzy sąsiednich pokoiów śmieją się, narzekają, płuczą gardła, słyszę dźwięk korytarzowego dzwonka i bieganie personelu, i wkrótce przekonuję się, że nie ma sensu dłużej odsuwać tego, co nieuniknione. Dobrze więc, do dzieła! Wstaję, myję się, golę, wykonuję wszystkie te skomplikowane ewolucje, niezbędne dla ubrania się i obucia, wciskam się w kołnierzyk, wsuwam zegarek do kieszonki kamizelki, przystrajam się okularami, a wszystko to z uczuciem aresztanta, który od dziesiątków lat zna te przepisowe czynności i wie, że skazany jest dożywotnio – to się nigdy nie skończy.

O dziewiątej pojawia się – błądy, milczący gość – w jadalni, siadam przy swoim małym okrągłym stoliku, w milczeniu witam ładną, wesołą dziewczynę, która przynosi mi kawę, smaruję jedną bułeczkę masłem, drugą chowam do kieszeni, rozcinam leżące na stole listy, pakuję śniadanie do paszczy, listy do kieszeni, na korytarzu dostrzegam znudzonego kuracjusza, który pragnąłby ze mną pogwarzyć i już z daleka uśmiecha się zachęcająco, nawet zaczyna już mówić, w dodatku po francusku, przewracam go z determinacją, mamrocze „pardon” i wybiegam na ulicę.

Na ulicy i w parku albo w lesie mam szansę, w pożądanej izolacji, ostatecznie dać sobie radę z porankiem. Niekiedy udaje mi się popracować, to znaczy na ławce w parku, plecami do słońca i ludzi, zanotować kilka myśli, które pozostały mi jeszcze z godzin nocnych. Przeważnie idę na spacer i cieszę się wtedy ze schowanej w kieszeni bułeczki, bo jedna z większych moich porannych radości (wyrażenie stanowczo zbyt entuzjastyczne) polega na tym, by ją pokruszyć i nakarmić liczne tu zięby i sikorki. Z zasady nie myślę wówczas o tym, że w Niemczech, o kilka mil stąd, nawet na stołach bogaczy nie trafia się tak białe pieczywo, a tysiące ludzi w ogóle nie ogląda chleba. Bronię tej, jakże oczywistej, myśli przystępu do swej świadomości, a obrona ta kosztuje mnie nierzadko sporo wysiłku.

Przy słonecznej pogodzie albo w deszcz, pracując czy spacerując, gdzieś kiedyś dobywam ostatecznie do końca przedpołudnia i oto nadchodzi wielka godzina kuracyjnego dnia, obiad. Mogę zapewnić, że nie jestem żarłokiem, ale nawet dla mnie, człowieka znającego rozkosze ducha i ascezy, jest to godzina ważna i uroczysta. Ale sprawę tę wypada gruntowniej rozważyć.

Jak wzmiankowałem już we wstępie, cechą charakterystyczną mentalności i usposobienia niemłodego już reumatyka i podagryka jest przeświadczenie, iż świata nie da się rozumieć prostolinijnie, ma on naturalne wycucie i szacunek dla antynomii, dla koniecznych sprzeczności i przeciwieństw. Otóż żywot kuracjusza w Baden ze zdumiewającą drastycznością wydobywa na jaw niektóre z tych sprzeczności, nie tykając zresztą ich filozoficznych podstaw. Wiele można by podać przykładów ilustrujących to stwierdzenie, przypomnę tylko, aby wybrać coś naprawdę banalnego, liczne ławeczki, porostawiane w Baden na każdym kroku: zapraszają wszystkich szybko się męczących, niepewnych własnych nóg kuracjuszy do zasiądca i spoczynku, a kuracjusz skwapliwie ulega tym zachętom. Zaledwie jednak posiedzi minutkę, już podrywa się przerażony, albowiem humanitarny konstruktor owych niezliczonych ławeczek, głęboki filozof i ironista, sporządził siedziska z żelaza, a zasiadłszy na nich ischiatyk postrzega, że oto najwrażliwsza część jego schorowanego ciała wystawiona została na zabójczy strumień chłodu, przed którym instynkt nakazuje mu natychmiast umknąć. Tak więc ławeczka uświadamia mu, jak bardzo potrzeba mu wypoczynku, a w minutę później upomina nie mniej dobitnie, że rdzeniem i źródłem życia jest ruch, że zardzewiałym stawom potrzeba nie tyle spokoju, co ćwiczenia.

Dałoby się znaleźć wiele takich przykładów. Ale badeński duch, poruszający się wiecznie wśród antytez, z większą niż kiedykolwiek siłą przejawia się w jadalni, w porze obiadu i kolacji. Siedzą tu więc dziesiątki chorych ludzi, każdy ze swą podagrą lub ischiasem, każdy przybyły do Baden wyłącznie po to, by kuracja uwolniła go od dolegliwości. Zwykła, prostolinijna, młodzieńcza purytańska mądrość życiowa, wsparta prostymi i wyraźnymi twierdzeniami chemii i fizjologii, zalecałaby pilnie owym chorym, prócz gorących kąpiel, przede wszystkim spartańskie, bezmięsne i bezalkoholowe pożywienie, ewentualnie wręcz leczniczy post. Ale tak młodzieńczo, tak prosto i jednostronnie w Baden się nie myśli, o nie, od stuleci Baden słynie tyleż ze swych źródeł, co ze swej bogatej i wybornej kuchni, i faktycznie niewiele jest w kraju lokali i zajazdów, gdzie jadłoby się tak dobrze i obficie, jak jadają w Baden chorzy na przemianę materii. Najdelikatniejszym szynkom akompaniuje tu dezaley, soczystym szynclom – bordeaux, między zupą a pieczystem trzepocze wdzięcznie pstrąg z wody, a po sutych daniach mięsnych następują wyśmienite ciastka, puddingi i kremy.

Dawniejsi autorzy próbowali rozmaicie objaśnić tę badeńską osobliwość. Łatwo jest zrozumieć i zaaprobować tutejszą wysoką kulturę gastronomiczną; każdy z tysięcy kuracjuszy czyni to dwa razy dziennie; wyjaśnić ją trudniej, gdyż przyczyny są tu złożonej natury. Kilka najważniejszych wymienię poniżej, pierwiej jednak chciałbym z całą stanowczością odrzucić owe płasko racjonalistyczne uzasadnienia, które tak często się spotyka. Nierzadko na przykład słyszy się wulgarny pogląd, że dobra badeńska kuchnia, pozostająca w sprzeczności z właściwym interesem kuracjuszy, rozwinęła się z biegiem czasu w wyniku konkurencji między różnymi hotelami, gdyż Baden od wieków znane jest z dobrej kuchni i każdy hotelarz zainteresowany jest w tym, by przynajmniej nie odstać od rywali. Ta jakże płytka i powierzchowna argumentacja nie wytrzymuje próby, już choćby dlatego, że wymija sam problem i pytanie o prawdziwą genezę wybornej badeńskiej gastronomii zbywa odwołując się do tradycji i przeszłości. A już żadną miarą nie zadowoli nas absurdalny koncept, że winę za dobre jedzenie ponosi żądza zysku hotelarzy! Jak gdyby jakikolwiek hotelarz zainteresowany był w maksymalnym zwiększaniu wydatków na rzeźnika, piekarza i cukiernika, a już zwłaszcza w Baden, gdzie najpotężniejszy magnes, największa, nigdy nie ustająca atrakcja każdego hotelu od stuleci mieści się na dole, w piwnicy, pod postacią gorących źródeł mineralnych!

Nie, aby dać temu zjawisku teoretyczne ramy, musimy pogrzebać znacznie głębiej. Cały sekret tkwi nie w zwyczajach i tradycjach przeszłości, ani w rachubach hotelarzy, kryje się on w samym rdzeniu budowy świata, jako jedna z wieczystych, niepodważalnych antynomii. Gdyby jedzenie w Baden tradycyjnie było chude i skąpe, hotelarze mogliby oszczędzić dwie trzecie swoich wydatków, a i tak mieliby pełno gości, tych bowiem nie przyciąga tu jedzenie, lecz przyganiają drgania ich własnego nerwu kulszowego. Ale założmy, na próbę, że w Baden żyje się racjonalnie, zwalcza kwasy moczowe i sklerozę nie tylko kąpielami, ale również abstynencją i postem – jaki byłby domniemany rezultat? Kuracjusze wyzdrowieliby, i niebawem w całym kraju nie byłoby już ischiasu, który wszak, podobnie jak wszystkie formy naturalne, ma prawo do istnienia i trwania. Kąpieliska stałyby się niepotrzebne, hotele musiałyby podupaść. A gdyby nawet te ostatnie straty uznać za błahę lub do powetowania, to przecież brak podagry i ischiasu w planie uniwersum, daremny wytrysk cudownych źródeł nie przyniosłby zgoła poprawy świata, ale coś wręcz przeciwnego.

W ślad za tym poniekąd teologicznym uzasadnieniem niech nastąpi psychologiczne. Któż z nas, kuracjuszy, chciałby prócz kąpeli i masaży, prócz troski i nudy zaznawać jeszcze postu i umartwień? Nie, wolimy wyzdrowieć tylko na wpół, a za to przyjemniej i milej spędzać czas, nie jesteśmy młodziankami o surowych wymaganiach wobec siebie i innych, tylko starszymi ludźmi, głęboko uwikłanymi w kondycje życia, nawykłymi do kompromisów. A zastanówmy się na serio: czy byłoby rzeczą słuszną i pożądaną, by każdy z nas dzięki kuracji idealnej został w zupełności i całkowicie uleczoney i nie miał nigdy umrzeć? Gdybyśmy odpowiedzieli na to nieco drażliwe pytanie z całą sumiennością, odpowiedź brzmiałaby: nie. Nie, nie chcemy być całkiem uleczeni, nie chcemy żyć wiecznie.

Co prawda, każdy z nas, pytany z osobna, odpowiedziałby zapewne raczej twierdząco. Gdyby mnie, kuracjusza i pisarza Hessego, zapytano, czy godzę się, aby pisarzowi Hesse oszczędzona była choroba i śmierć, czy uważam jego życie wieczne za rzecz dobrą, pożądaną i konieczną, w pierwszej chwili z właściwą literatom próżnością odpowiedziałbym zapewne twierdząco. Ale gdyby tylko zadano mi to samo pytanie w odniesieniu do innych, do kuracjusza Müllera, do ischiatyka Legranda, do Holendra z pokoju numer 64, bardzo prędko zdecydowałbym się zaprzeczyć. Nie, w istocie nie jest rzeczą konieczną, byśmy – my, starsi, już nie nazbyt urodziwi ludzie – żyli w nieskończoność, choćby i bez podagry. Byłoby to wręcz rzeczą fatalną, byłoby to bardzo nudne, bardzo brzydkie. Nie, chętnie umrzemy, kiedyś, później. Ale na razie wolimy, po męczących kąpielach, po męcząco zabitym przedpołudniu, zaznać czegoś dobrego, obgryźć kurze skrzydełko, rozplatać smakowitą rybę, wysączyć kieliszek czerwonego wina. Tacy jesteśmy, tchórzliwi, słabi i żądni uciech, starzy egoiści. Taka jest nasza psychologia, a że nasza dusza, dusza reumatyków i starzejących się ludzi, jest także duszą Baden, to również i od tej strony badeńska tradycja kulinarna jest w pełni usprawiedliwiona.

Czyż nie dosyć argumentów, usprawiedliwień dla naszego sybarytyzmu? Trzebaż jeszcze dalszych racji? Jest ich setka. Wymieńmy jedną, bardzo prostą: kąpiele mineralne mianowicie „wyciągają”, to znaczy budzą głód. A że jestem nie tylko kuracjuszem i biesiadnikiem, ale niekiedy także skłaniam się ku przeciwległemu biegunowi i znam radości postu, sumienia mego nie obciążą, w obliczu łaknącego świata i ze szkodą dla mej przemiany materii, trzy tygodnie lasowania.

Daleko odbiegłem od tematu. Wróćmy do porządku dnia! Siedzę więc za stołem, oglądam defiladę ryb, pieczystego i owoców, w przerwach patrzę długo i w zadumie na obciążnięte czarnymi pończochami nogi kelnerek, patrzę w zadumie, choć już nie tak długo na nogi oberkelnera. Te ostatnie (nogi oberkelnera) stanowią dla nas, pacjentów, błogi widok, ogromną pociechę. Kelner mianowicie, zresztą bardzo miły człowiek, cierpiał kiedyś na niezwykle ciężki i bolesny reumatyzm, tak że nie był już w stanie chodzić, i dzięki badeńskiej kuracji został kompletnie uleczony. Każdy z nas o tym wie, niejednemu on sam to opowiadał. Dlatego to często patrzymy w takiej zadumie na nogi oberkelnera. Ale nogi młodych kelnerek, w czarnych pończochach, są tak zgrabne i ruchliwe bez kuracji, same z siebie, i to wydaje nam się godne jeszcze głębszej zadumy.

Ponieważ żyję samotnie, posiłki są też dla mnie jedyną okazją, by zaznajomić się trochę z moimi współkuracjuszami. Wprawdzie nie znam ich nazwisk, i zamieniłem z nimi ledwo parę słów, ale oglądam ich, jak siedzą, jak jedzą, i niejednego się przy tym dowiaduję. Holender, mój sąsiad, którego głos przez ścianę co wieczór i co rano godzinami pozbawia mnie snu, tu przy stole rozmawia ze swoją żoną tonem tak przyciszonym, że gdyby nie sąsiedztwo z numerem 64, nigdy nie poznałbym jego głosu. Co za łagodny człowiek!

Kilka postaci naszego obiadowego teatrzyku cieszy mnie dzień w dzień stanowczością swych sylwetek, wyrazistością swych ról. Jest tu olbrzymka z Holandii, dwa metry albo więcej wzrostu i mocno ciężka, majestatyczne zjawisko, zasługujące na tytuł księżnej kuracjuszy. Postawę ma wspaniałą, ale jej chód pozostawia wiele do życzenia, i wygląda to osobliwie kokietyjnie i niebezpiecznie, niemal zapiera dech w piersi, kiedy wkracza na salę, wsparta na misternej jak zabawka laseczce, która w każdej chwili grozi złamaniem. Ale może jest z żelaza.

Następnie jest tu pewien straszliwie poważny pan, założę się, że to co najmniej radca narodowy, na wskroś obyczajny, męski, patriotyczny, dolne powieki nieco zaczerwienione i obwisłe jak u wiernych psów z Góry św. Bernarda, kark potężny i sztywny, odporny na ciosy, czoło pofałdowane marszem, portfel wypchany uczciwie zdobytymi i dokładnie przeliczonymi banknotami, pierś wypełniona nieskazitelnymi, szczytnymi, choć nietolerancyjnymi ideałami. Pewnej okropnej nocy śniło mi się, że mężczyzna ten jest moim ojcem, a ja stoję przed nim i muszę się tłumaczyć: po pierwsze z braku patriotyzmu, po drugie z powodu strwonionych przy grze pięćdziesięciu franków, po trzecie ponieważ uwiodłem pewną dziewczynę. Następnego dnia po morderczym śnie tęskniłem gorąco za fizycznym widokiem tego pana, przed którym tak się trząsałem we śnie. Jego widok mnie uleczy, bo rzeczywistość zawsze jest mniej groźna niż wizje naszych lękliwych snów, może się uśmiechnie albo skinie mi głową lub wymieni żarcik z kelnerką czy przynajmniej swoim fizycznym pojawieniem się skoryguje zniekształcony obraz z mego snu. Ale kiedy nadeszła pora obiadu i ujrzałem surowego pana przy jedzeniu, nie skinął głową ani się nie uśmiechnął, siedział ponuro przed swoją butelką wina, a każda zmarszczka jego czoła i karku wyrażała nieubłaganą moralność i determinację, ja zaś bałem się go panicznie i wieczorem modliłem się, by nigdy już mi się nie przyśnił.

Jakże miły natomiast, jak sympatyczny i pełen wdzięku jest pan Kesselring, mężczyzna w najlepszych latach, nie wiem, jaki ma zawód, ale musi to być hidalgo lub coś podobnego. Jedwabiste włosy spływają mu wokół czystego czoła, wesoły dołek w policzku wabi wdzięcznie, jasnobłękitne oczy dziecka patrzą z rozmarzeniem i zachwytem, liryczna dłoń delikatnie gładzi elegancką wzorzystą kamizelkę. W tej piersi nie może mieszkać cień fałszu, żaden nieszlachetny impuls nie zmaci szlachectwa tych poetycznych rysów. Różowy od stóp do głów jak dziewczęta Renoira, nadobny Kesselring musiał za młodu bratać się z szelmą Kupidynem. Ale jak ten słodki chłopczyzna mnie przeraził i rozczarował, gdy któregoś razu o zmroku w palarni pokazał mi kieszonkową kolekcję nieprzyzwoitych obrazków – na to wprost brak mi słów.

Lecz najbardziej interesującego i najpiękniejszego z gości, jakiegom kiedykolwiek oglądał w tej sali, dziś tu nie ma, raz tylko go widziałem i siedział wtedy naprzeciwko mnie, przy moim okrągłym stoliku, przez jedną tylko wieczorną godzinę, z wesołymi piwnymi oczyma, ze zręcznymi, smukłymi dłońmi, samotny kwiat pełen młodości i blasku wśród pacjentów. Ukochana, wróć, aby wraz ze mną zajadać wyborne dania, kosztować wybornych win i rozjaśniać salę naszymi bajkami i śmiechem!

My, goście, kontrolujemy się wzajemnie, jak to zwykle bywa na letnich wywczasach, tyle że moda i elegancja odgrywają tu nieznaczną rolę. Tym baczniej śledzimy za to samopoczucie naszych bliźnich, ponieważ widzimy w nich nasze własne odbicie, i jeśli staruszek z numeru 6 ma dziś akurat dobry dzień i może przejść od drzwi do stołu o własnych siłach, wszystkich nas bardzo to cieszy, i wszyscy kiwamy markotnie głowami, słysząc, że pani Flury nie mogła dziś opuścić łóżka.

Spędziwszy godzinę na dobrym jedzeniu i wzajemnych obserwacjach, niechętnie porzucamy tę rozrywkę i opuszczamy ulubioną salę. Dla mnie zaczyna się teraz łatwa część dnia. Przy dobrej pogodzie odwiedzam hotelowy ogród, gdzie w ustronnym miejscu czeka już leżak, a obok notatnik, ołówek i tom Jeana Paula. O trzeciej lub czwartej mam „zabiegi”, to znaczy muszę stawić się u lekarza, gdzie jego asystentki traktują mnie najnowszymi metodami. Siedzę pod lampą kwarcową, pełen ochoty, by maksymalnie wykorzystać słoneczny potencjał tej latarni magicznej i trzymać najpilniej tego potrzebujące części ciała jak najbliżej rozżarzonego otworu. Kilka razy się przy tym poparzyłem. Następnie niestrudzona współpracownica doktora czeka mnie z diatermią. Przywiązuje mi do przegubu małe poduszeczki, bieguny elektryczne, i puszcza prąd, jednocześnie aplikuje mi dwie podobne poduszki na kark i plecy, ja zaś nie mam do roboty nic innego jak tylko krzyczeć, gdy za mocno pali. W czasie zabiegów – jedna atrakcja więcej – istnieje też zawsze możliwość, że wejdzie lekarz i wywiąże się między nami rozmowa, a nawet jeśli nadzieja ta w dziewiętnastu na dwadzieścia przypadków pozostaje nie spełniona, i tak trzeba ją brać pod uwagę.

Decyduję się na mały spacer, i kiedy mijam bramę parku zdrojowego, po tłumnej obecności ludzi poznaję, że na górze w domu zdrojowym znowu odbywa się jeden z licznych koncertów, które zawsze się tam urządza i z których ani jednego dotąd nie wysłuchałem. Zachodzę więc i znajduję tłumnie zgromadzoną publiczność, po raz pierwszy stykam się z tutejszym chorym i kurującym się ludkiem tak *in corpore*. Setki moich kolegów i koleżanek siedzą tu na krzeselkach, jedni przy herbacie lub kawie, inni zaopatrzeni w książki lub druty trykotarskie, z których zwisają pończochy, i przysłuchują się małemu zespołowi muzyków, którzy grają z zapalem w głębi sali. Długo stoję w drzwiach, patrzę i słucham, bo nie ma ani jednego wolnego krzesła. Widzę, jak muzycy pracują, grają skomplikowane utwory przeważnie nie znanych kompozytorów, i jeśli nie mogę odnieść się z sympatią do całej tej imprezy, to wcale nie ze względu na jakość ich gry. Muzycy robią swoje nawet bardzo dobrze – i właśnie dlatego życzylibym sobie, by zamiast tych wszystkich sztucznych kawałków, opracowań i aranżacji grali prawdziwą muzykę. A z drugiej strony właściwie bym sobie tego nie życzył. Wcale nie czułbym się lepiej, gdyby zamiast tego rozrywkowego wyciągu z „Carmen” albo z „Nietoperza” zagrano, powiedzmy, kwartet Schuberta albo duet Haendla. Na miłość Boską, byłoby jeszcze gorzej. Kiedyś przy podobnej okazji zdarzyło mi się tego doświadczyć. Przy pustawej sali pierwszy skrzypek orkiestry kawiarnianej grał wtedy „Chaconne” Bacha, i podczas gdy grał, ucho moje zarejestrowało następujące jednoczesne wrażenia: dwóch młodych panów płaciło rachunek i kazało sobie wydawać resztę drobnymi na stolik – pewna energiczna dama gwałtownie domagała się w szatni swego parasola – jakiś mniej więcej czteroletni, zachwycający chłopaczek bawił zgromadzone przy stoliku towarzystwo swoim dźwięcznym świergotem – ponadto w ruchu były butelki i szklanki, filiżanki i łyżeczki, a pewna niedowidząca starsza pani strąciła, ku swemu żywemu przerażeniu, talerzyk z ciastkami. Każde z tych zajęć z

osobna było pełnoprawnym wydarzeniem, zasługującym na moją sympatię i uwagę, ale czułem, że jednoczesny napór i konkury tak wielu wrażeń przerastają mnie psychicznie. A winę za to ponosiła wyłącznie muzyka, owa „Chaconne” Bacha, tylko ona przeszkadzała. Nie, z całym szacunkiem dla muzyków w kasynie, powiedzieć muszę, że koncertowi temu brakowało moim zdaniem zasadniczej rzeczy: sensu. Fakt, że dwieście osób się nudzi i nie wie jak spędzić popołudnie, to w moich oczach jeszcze żaden powód, by przyzwoici muzycy grali aranżacje ze znanych oper. Czego brakowało temu koncertowi, to serca, tego, co stanowi sedno sprawy: konieczności, żywej potrzeby, napięcia dusz, wyczekujących zbawienia przez sztukę. Jednakże mogę się mylić. W każdym razie spostrzegłem wprędce, że nawet i ta, raczej ospała publiczność, nie jest homogeniczną masą, ale składa się z wielu poszczególnych dusz, i jedna z tych dusz reaguje na muzykę z ogromną wrażliwością. Z przodu sali, tuż przy podium, siedzi namiętny przyjaciel muzyki, mężczyzna z czarną brodą i złotym cwikiem, który odchylony w tył, z przymkniętymi oczami w odurzeniu kiwa głową w takt muzyki, a gdy kawałek dobiega końca, podrywa się, otwiera oczy i jako pierwszy rozpoczyna salwę oklasków. A nie mogąc zadowolić się samym klaskaniem, wstaje, zbliża się do podium, umie od tyłu zwrócić na siebie uwagę kapelmistrza i obsypuje go, wśród nie milknących oklasków tłumu, słowami żarliwej pochwały.

Zmęczony stanem i przejęty całą imprezą mniej niż brodaty entuzjasta, zamierzam w czasie drugiej przerwy właśnie się oddalić, gdy wtem z pomieszczenia obok docierają do mych uszu zagadkowe dźwięki. Zwracam się z zapytaniem do sąsiada-ischiatyka i w odpowiedzi słyszę, że znajduje się tam kasyno gry. Ucieszony śpieszę tam co prędzej. Faktycznie, w rogach stoją palmy i okrągłe pluszowe akcesoria do siedzenia, a przy wielkim zielonym stole, odchodzi, jak się zdaje, ruletka. Podchodzę, stół otoczony jest gęsto przez ciekawskich, między których ramionami mogę częściowo obserwować, co się dzieje. Wzrok mój przykuwa zrazu gospodarz tego stołu, wygolony pan we fraku, bez wieku, o ciemnych włosach i spokojnym obliczu filozofa, który odznacza się zdumiewającą sprawnością w błyskawicznym przesuwaniu pieniędzy z jednego pola stołu na dowolne inne, przy pomocy jednej tylko ręki i dziwacznej, elastycznej łopatkki czy raczej grabek. Manipuluje giętkimi grabkami niczym zręczny rybak spinningiem, a ponadto umie przerzucać pieniądze w powietrzu tak, że lądują na określonym polu. I w czasie wszystkich tych czynności, których rytm wyznaczają okrzyki jego młodszego pomocnika, obsługującego kulkę, spokojna, gładko wygolona i różowa twarz pod ciemnymi, nieco matowymi włosami, pozostaje wciąż niezmiennie spokojna i niewzruszona. Długo się przypatruję, jak tkwi nieruchomo na specjalnym krzeselku o pochyłym siedzeniu, w spokojnej twarzy poruszają się tylko bystre oczy, lewą ręką lekko zgarnia pieniądze, wychwytuje je lekko prawą ręką za pomocą grabek i szybko przesuwa w róg. Przed nim piętrzą się słupki większych i mniejszych srebrnych monet, nawet Stinnes mógłby mu pozazdrościć. Pomocnik wciąż na nowo wyrzuca kulkę, która toczy się do oznaczonego numerem otworu, wciąż na nowo wykrzykuje numer otworu, zaprasza do gry, komunikuje, że stawki skończone, ostrzega: „rien ne va plus”, a poważny pan wciąż wykonuje rękoma pracowity taniec przy stole. Często widywałem podobne rzeczy, dawniej, w odległych legendarnych czasach przed

wojną, w czasach moich podróży i wędrówek, w wielu miastach świata widywałem te palmy i poduszki, te same zielone stoliki i kulki, myślałem przy tym o pięknych, pełnych napięcia opowieściach Turgieniewa i Dostojewskiego o graczach, a potem znowu zwracałem się ku innym sprawom. Jedno tylko rzuciło mi się w oczy przy bliższych oględzinach, mianowicie że cała gra toczy się jedynie dla rozweselenia pana we fraku. Rozrzucał swoje monety, przesuwiał z piątki na siódmkę, z parzystych na nieparzyste, wypłacał wygrane, inkasował przegrane – ale wszystko to były jego własne pieniądze. Nikt z publiczności nie obstawiał, byli tu sami kuracjusze, przeważnie z prowincji, i z uciechą oraz głębokim podziwem, tak jak ja, śledzili ewolucje filozofa oraz słuchali lodowato chłodnych, francuskich okrzyków jego pomocnika. Kiedy wreszcie, zdjęty litością, położyłem dwa franki w dostępnym mi rogu stołu, obróciło się na mnie pięćdziesiąt par urzeczonych i szeroko rozwartych oczu, co było mi tak przykre, że ledwo doczekałem chwili, gdy moje franki znikły zagarnięte grabkami, i śpiesznie odszedłem.

Również dziś spędzam znowu kilka minut przed wystawami zdrojowego deptaka. Jest tu wiele sklepów, w których kuracjusze mogą kupić to, co wydaje im się niezbędnie potrzebne, w szczególności karty z widoczkami, lwy i jaszczurki z brązu, popielniczki z wizerunkami sławnych ludzi (tak że nabywca może się na przykład zabawić pakowaniem dzień w dzień żarzącego się cygara w oko Richarda Wagnera) i wiele innych przedmiotów, o których nie chcę się wypowiadać, gdyż mimo dłuższej lustracji nie byłem w stanie zgłębić ich natury i przeznaczenia; niektóre z nich wydają się służyć praktykom kultowym prymitywnych ludów, lecz może to błędna opinia, a wszystkie razem przyprowadzają mnie do smutku, świadczą bowiem aż nadto dobitnie, że mimo najlepszej woli zadzierzgnięcia społecznych więzi wciąż żyję poza światem mieszczańskim i rzeczywistym, nic o nim nie wiem i nigdy go naprawdę nie zrozumieję, podobnie jak sam, mimo wieloletnich wysiłków pisarskich, nie będę przez ten świat rozumiany. Kiedy patrzę na wystawy, gdzie nie oferuje się przedmiotów codziennego użytku, tylko tak zwane artykuły upominkowe, luksusowe i rozrywkowe, przeraża mnie obcość tego świata; pośród setki przedmiotów jest może dwadzieścia, trzydzieści takich, których przeznaczenia, sensu i sposobu użycia niejasno się domyślam, i ani jednego, którego posiadanie wydałoby mi się godne pożądania. Są tu przedmioty, na których widok mogę długo zgadywać: czy to się nasadza na kapelusz? czy wkłada do kieszeni? do kufla piwa? czy też jest to coś w rodzaju gry w karty? Widzę tu obrazki i napisy, dewizy i cytaty, pochodzące z całkiem mi nie znanych, niedostępnych mojej intuicji światów wyobrażeń, albo znów widzę dobrze mi znane i godne szacunku symbole, użyte w sposób, którego nie mogę ani zrozumieć, ani pochwalać. Na przykład rzeźbiona figurka Buddy albo chiński bożek na ręczce modnego damskiego parasola jest i pozostanie dla mnie czymś zagadkowym, obcym i przykrym, ba – niesamowitym; zapewne nie jest to rozmyślnie i świadome świętokradztwo, ale jakie wyobrażenia,

potrzeby i stany psychiczne skłaniają przedsiębiorcę do produkcji, a nabywców do nabywania tych absurdalnych przedmiotów – oto co gorąco chciałbym wiedzieć, a czego dowiedzieć się nie mogę. Albo znów modna kawiarnia, gdzie o piątej siedzą ludzie! Mogę doskonale pojąć, że ludziom zamożnym sprawia przyjemność picie herbaty, kawy i czekolady, oraz pałaszowanie do tego bitej śmietany i drogich wykwintnych cukrów. Ale dlaczego wolni ludzie w pełni władz umysłowych pozwalają, by przeszkadzała im w rozkoszowaniu się tymi rzeczami natrętna, przesłodzona muzyka, niewygody i upokorzenia związane z przesiadywaniem w tych ciasnych, zatłoczonych, przeładowanych zgoła niepotrzebnymi ozdóbkami i dekoracjami lokalach, a raczej dlaczego wszystkie te zakłócenia, niedogodności i przeszkody nie są przez ludzi wcale odczuwane jako takie, a przeciwnie, lubiane i poszukiwane – tego nie zgłębię nigdy i przywykłem przypisywać to memu, jak się rzekło, lekko schizofrenicznemu usposobieniu ducha. Nie przestaje mnie to jednak trapić. I ci sami eleganccy i zamożni ludzie, którzy przesiadują w owych kawiarniach, gdzie lekko słodka muzyka przeszkadza myśleć, rozmawiać, niemal oddychać, gdzie otacza ich ciężki, prymitywny luksus, marmury, srebra, dywany, lustra – ci sami ludzie wieczorem z rzekomym zachwytem słuchają odczytu o szlachetnej prostocie życia w Japonii, a po domach mają legendy mnichów i nauki Buddy w pięknych wydaniach i oprawach. Doprawdy nie chcę być zelotą i kaznodzieją, zawsze też skłonny jestem życzliwie traktować śmiało i niebezpieczne ekscesy i cieszę się, gdy ludzie są zadowoleni – tylko czy naprawdę są zadowoleni? Czy cały ten marmur, bita śmietana, muzyka na coś się zdają? Czyż ci sami ludzie, obsługiwani przez lokajów w liberii i mając przed sobą półmiski pełne łakoci, nie czytają w gazetach doniesień o głodzie, powstaniach, strzelaninie, egzekucjach? Czy za kolosalnymi szybami tych eleganckich kawiarni nie istnieje świat pełen krwawej nędzy, rozpacz, obłądu i samobójstw, niepokoju i przerażenia? Tak,

tak, wiem, wszystko to należy do porządku rzeczy, wszystko to jest w jakimś sensie słuszne, i Bóg tego chce. Ale wiem to ot, tak sobie, tak jak się teoretycznie wie, że dwa razy dwa jest cztery. Nie jest to wiedza przekonywająca. Po prawdzie nie uważam wcale, by wszystko to było słuszne i zgodne z Bożą wolą – uważam, że jest to absurdalne i obrzydliwe.

Stroskany kieruję się ku witrynie, gdzie wystawione są pocztówki. W tej materii jestem już niemal ekspertem, mogę rzec, że przestudiowałem dość gruntownie widokówki z Baden, a wszystko to w intencji, by na podstawie przejawiających się w ten sposób potrzeb jeszcze lepiej poznać przeciętnego kuracjusza i jego duszę. Jest tu dość dużo niebrzydkich starych badeńskich widoczków, również stare malowidła i sztychy ze scenami kąpielowymi, z których można się dowiedzieć, że Baden w minionych stuleciach było wprawdzie mniej poważne i przyzwoite, zapewne też mniej higieniczne niż dziś, za to żyło się tu i kąpało daleko przyjemniej. Te stare obrazki, wieżyczki i przyczółki, ubiory i kostiumy – wszystko to nastraja cokolwiek melancholijnie, choć oczywiście nie miałyby się wcale ochoty żyć w tamtych czasach. Wizerunki miasta, ulic, kąpieliska, z szesnastego czy osiemnastego wieku, tchną leciutko i łagodnie owym cichym smutkiem, który osnuwa wszystkie takie obrazki, bo na tych obrazkach wszystko jest ładne, zawsze wydaje się, że między naturą a człowiekiem panuje pokój, domy i drzewa nie walczą ze sobą. Wydaje się, że wszystko spowija piękno i harmonia, od olchowych zarośli po strój pasterki, od zwieńczonej blankami wieży po mostki i studnie i aż po psiaka o smukłych łapach, który obsikuje empirową kolumnę. Na niektórych starych obrazkach można znaleźć rzeczy śmieszne, świadczące o głupocie i próżności, ale nigdy nic brzydkiego, nic krzykliwego; domy stoją obok siebie jak kamienie polne albo jak ptaki, przysiadłe rzędem na żerdzi, podczas gdy w dzisiejszych miastach jeden dom pyskuje na drugi, konkuruje z nim, chciałby go wyrugować.

I przypomina mi się, jak to kiedyś na pięknej uroczystości, gdzie wszystko odbywało się w kostiumach z czasów Mozarta, nagle zobaczyłem w oczach mojej ukochanej łzy, a kiedy począłem ją przerażony wypytywać, rzekła: „Dlaczego dzisiaj wszystko musi być takie brzydkie?” Pocieszałem ją wtedy, że nasze życie nie jest w niczym gorsze, że jest bardziej swobodne, bogatsze i śmielsze niż wtedy, że w pięknych perukach kryły się wszy, a za przepychem lustrzanych sal i świeczników głodujące i uciśnione narody, i że to w ogóle dobrze, iż z tamtych dawniejszych czasów zachowaliśmy tylko to, co najładniejsze, wspomnienie ich pogodnych, niedzielnych stron. Ale człowiek nie co dzień myśli tak rozsądnie.

Wróćmy do widokówek! Istnieje w tych stronach pewna szczególna kategoria obrazków, którym nie brak oryginalności. Tutejsza okolica jest przez lud nazywana Rubliland – kraina rzepek – toteż mamy tu całe serie obrazków, przedstawiających najrozmaitsze sceny rodzajowe, jako to scenki ze szkoły, z wojska, rodzinne wycieczki, bójkę, gdzie ludzie przedstawieni są jako rzepek. Widzimy parę zakochanych rzepek, pojedynki między rzepekami, kongresy rzepek. Kartki te mają wielkie powodzenie, zapewne słusznie, a jednak nawet one mnie nie cieszą. Obok widoczków historycznych i rzepek jako trzecią zasobną kategorię wymienić należy obrazki erotyczne. W tej dziedzinie, pomyślałby ktoś, można sobie na niejedno pozwolić i za sprawą tego rodzaju obrazków jałowy świat okna wystawowego zyskałby nieco rasy, ikry i krwistości. Ale z tą nadzieją musiałem się rozstać już w pierwszych dniach. Byłem zdumiony widząc, że właśnie życie miłosne zostało w świecie kart pocztowych tak źle potraktowane. Wszystkie widokówki tej kategorii, całe setki, odznaczają się żalosną niewinnością i wstydlivością, i stwierdziłem, że również w tej mierze moje gusty skrajnie odbiegają od gustów ogółu, albowiem gdyby ktoś zlecił mi zgromadzenie obrazków życia miłosnego, doprawdy wybrałbym zupełnie co innego, niż to, co mi się tu prezentuje. Nie ma tu ani patosu czystej erotyki, ani poezji na wpół ukrytej gry, wszędzie za to panuje słodko wstydlivy nastrój zaręczyn, wszystkie te liczne pary miłosne są starannie i szykownie ubrane, narzeczeni często w surdutach i cylindrach, z bukietem w ręku, czasem przyświeca im księżyc, a umieszczony pod obrazkiem wierszyk ma za zadanie objaśnić sytuację, na przykład:

*Kochanko luba, w świetle księżycy
Błękit twych oczu szczęścia mi życzy.*

Kategoria ta bardzo mnie rozczarowała, producenci kart najwyraźniej dostrzegli z życia miłosnego tylko jego konwencjonalną i nieinteresującą część. Niemniej jednak zanotowałem sobie kilka wierszyków, jako przykłady popularnej poezji naszych czasów, między innymi ten oto:

*Z ukochaną istotą przez świat za rękę iść
Ideal to mój szczytny, dwóch dusz prześwieta więź.*

Jakkolwiek wierszyk może nam się wydać niezbyt kunsztowny, w porównaniu z obrazkiem, któremu towarzyszył, był dziełem wprost klasycznym. Młoda dziewczyna, której główkę najwidoczniej zapożyczono od woskowego modelu w salonie fryzjerskim, siedziała na ławce pod drzewami, a młody panek w doskonale skrojonym garniturze stał przed nią, zajęty wciąganiem bądź ściąganiem rękawiczek *glace*.

Dzisiaj więc znowu spędziłem chwilę przed tymi obrazkami, a że ogarnęła mnie skutek tego pustka, nuda i palące pragnienie, by zapomnieć o całym tym samym w sobie jakże szacownym świecie koncertów, gry, poprawnych par narzeczeńskich i rzepek, zamknąłem oczy i w duchu błagałem Boga o ratunek, albowiem czułem, że zbliża się atak głębokiego zniechęcenia i mdlącego wstrętu do życia, które to ataki ku memu ubolewaniu zaskakują mnie zawsze wtedy, gdy akurat z najlepszą wolą i całą powagą usiłuję otrząsnąć się z mego pustelnicstwa i mizantropii oraz dzielić szczęście i niedole większości.

I Bóg mi dopomógł. Zaledwie przymknąłem oczy i w duchu odwróciłem się od świata kuracji i rzep, stęskniony znaku i głosu z innych, bliższych mi, świętszych sfer, przyszedł mi do głowy zbawczy pomysł. W naszym hotelu znajdował się mianowicie na uboczu, nie wszystkim gościom znany zakątek, gdzie nasz gospodarz, mający wiele podobnych ujmujących cech, w klatce humanitarnych wymiarów trzymał schwyte dwie młode kuny. Nagle poczułem chęć, by popatrzeć na kuny, ślepo jej uległem, pędem zawróciłem do hotelu i odszukałem uwięzione zwierzątko. Zaledwie przy nich przystanąłem, wszystko było już dobrze, znalazłem dokładnie to, czego w tej krytycznej chwili potrzebowałem. Szlachetne, urodzive zwierzątka dały się łatwo wywabić z norki, biegały, upojone własną siłą i zręcznością, w dzikich susach po obszernej klatce, to znów zatrzymywały się przy kracie obok mnie, dyszały gwałtownie różowymi pyszczkami i wilgotnymi, ciepłymi noskami obwąchiwały moją rękę. Nie trzeba mi było niczego więcej. Patrzeć w czyste oczy zwierząt, widzieć te cudowne, okryte futerkiem dzieła sztuki i zamysły Boże, czuć ich ciepły, żywy oddech, wdychać ostrą, dziką woń drapieżników – to wystarczyło, by kojąco przekonać mnie o nienaruszonym istnieniu wszystkich planet i gwiazd, lasów palmowych i rzek przecinających dziewicze puszcze. Zamiast kun powinien mi wystarczyć widok dowolnej chmury, byle zielonego listka; ale w danym momencie potrzeba mi było akurat mocniejszych dowodów.

Kuny miały więcej siły niż widokówki, koncert, kasyno. Dopóki istniały kuny, zapach dziewiczej puszczy, instynkt i natura, dopóty dla poety świat był jeszcze możliwy, jeszcze piękny i pełen obietnic. Z ulgą poczułem, jak koszmar ustępuje, roześmiałem się sam ze siebie, przyniosłem kunom kawałek cukru i swobodnie ruszyłem na spotkanie wieczoru. Słońce stało już nisko nad krawędzią zalesionych gór, osnuty lekką złotawą mgiełką błękit jaśniał promiennie i dziecinnie nad padłem moich błękań, z uśmiechem witałem nadejście mojej dobrej godziny, myślałem o mojej ukochanej, igrałem z rodzącymi się wierszami, czułem jak muzyka, jak szczęście i nabożne skupienie przenika świat, z czcią odrzuciłem cały ciężar dnia i wśliznąłem się – niczym ptak, motyl, ryba, obłok – do radosnego, przemijalnego, dziecinnego świata tworów fantazji.

O wieczorze tym, kiedy to wróciłem do domu późno, zmęczony i uszczęśliwiony, nie chcę tu opowiadać. Cała moja filozofia ischiatyka mogłaby się od tego zawalić. Szczęśliwy, zmęczony i rozśpiewany wróciłem nocą do domu, i o dziwo, nawet sen dziś ode mnie nie uciekał, nawet sen, ten tak płochliwy ptak, przyszedł ufnie i zaniósł mnie na błękitnych skrzydłach do raj.

HOLENDER

Długo wykręcałem się od napisania tego rozdziału. Ale trudno.

Kiedy dwa tygodnie temu uważnie i troskliwie wybrałem pokój numer 65, w sumie nie zrobiłem złego wyboru. Pokój, o jasnych, wdzięcznych tapetach, ma alkowę, w której stoi łóżko, i ucieszył mnie swoim niepowszednim, oryginalnym kształtem, ma doskonałe światło i częściowo widok na rzekę oraz winnice. Poza tym położony jest na najwyższym piętrze, nikt nie mieszka nade mną, a odgłosy ulicy prawie nie dają się tu we znaki. Wybrałem dobrze. Wprowadzając się zapytałem też o sąsiadów i otrzymałem uspokajające informacje. Z jednej strony mieszka pewna starsza dama, której rzeczywiście nigdy nie słyszę. Ale z drugiej strony, pod numerem 64, mieszka ten Holender! W ciągu dwunastu dni, w ciągu dwunastu ciężkich nocy człowiek ten stał się dla mnie niezwykle ważną osobą, aż nazbyt ważną, stał się dla mnie mityczną postacią, bożkiem, demonem i upiorem, którego zdołałem pokonać dopiero przed paroma dniami.

Nikt, komu bym go pokazał, nie dałby temu wiary. Ów pan z Holandii, który od tyłu dni odbierał mi możliwość pracy, od tyłu nocy możliwość snu, nie jest ani rozjuszonym berserkerem ani zapalonym muzykantem, nie wraca o nieoczekiwanych porach pijany do domu, nie bije żony ani się z nią nie kłóci, nie gwizdże i nie śpiewa, nawet nie chrapie, a przynajmniej nie chrapie tak głośno, by mi to przeszkadzało. Jest solidnym, obyczajnym, już nie pierwszej młodości człowiekiem, prowadzi regularny tryb życia i nie ma żadnych wyraźnych wad – jak to możliwe, by ten idealny obywatel przysparzał mi takich cierpień?

To jest możliwe, to jest niestety fakt. Oto dwie sprawy zasadnicze, dwa filary mego nieszczęścia: między numerem 64 i 65 znajdują się drzwi, wprawdzie zamknięte i zastawione stołem, ale wcale nie szczelne. To jedno nieszczęście, nieodwracalne. A drugie, jeszcze gorsze: Holender ma żonę. Jej też nie da się dozwolonymi środkami usunąć z tego świata ani choćby z numeru 64. A w dodatku mam jeszcze niezwyklego pecha, że moi sąsiedzi, dokładnie tak jak ja, należą do stosunkowo nielicznych gości hotelu, którzy większość dnia spędzają w swoich pokojach.

Gdybym ja też miał ze sobą żonę albo gdybym był nauczycielem śpiewu, miał fortepian, skrzypce, waltornię, armatę lub kotły, mógłbym podjąć walkę z moim sąsiadem z nadzieją sukcesu. Ale sytuacja przedstawia się tak: holenderska para przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie słyszy ode mnie ani jednego dźwięku, jest przeze mnie traktowana tak jak traktuje się królów albo ludzi ciężko chorych, jest przeze mnie nieustannie zasypywana niewyobrażalnym dobrodziejstwem ciszy doskonałej. A jak odwdzięczają mi się za to dobrodziejstwo? Zapewniają mi, śpiąc każdej nocy od dwunastej do szóstej, codzienny sześciogodzinny okres ochronny. Do mnie należy decyzja, czy zechcę zużytkować ten czas na pracę, sen, modlitwę lub medytację. Pozostałymi osiemnastoma godzinami doby już nie dysponuję, nie należą do mnie, te osiemnaście godzin odbywa się, by tak rzec, w ogóle nie u mnie, ale w numerze 64. Przez osiemnaście godzin dziennie lokatorzy spod numeru 64 gawędzą, śmieją się, robią toaletę, przyjmują wizyty. Nie ćwiczą z bronią palną, nie uprawiają muzyki ani się nie wodzą za łby, to przyznają. Ale też nie rozmyślają, nie czytają, nie oddają się medytacjom, nie milczą. Bezustannie ciurka strumyk rozmowy, często przesiaduje tam cztery do sześciu osób, a wieczorem małżeńska para gwarzy do wpół do dwunastej. Potem przychodzi pora brzęku szkła i porcelany, szurania szczoteczek do zębów, przesuwania kilku krzesel i melodii płukania ust. Potem trzeszczą łóżka, a potem następuje cisza i utrzymuje się (raz jeszcze przyznają) aż do mniej więcej szóstej rano, o której to godzinie któreś z małżonków, nie wiem – on czy ona – wstaje i wprawia podłogę w drżenie, udaje się do kąpieli, wraca; tymczasem i dla mnie przychodzi pora kąpieli, a kiedy wracam, nić rozmów, szmerów, śmiechu, suwania krzesłami i tak dalej nie urywa się już niemal do północy.

Gdybym był rozsądnym, normalnym człowiekiem jak inni, z łatwością dostosowałbym się do sytuacji. Ustąpiłbym, ponieważ dwoje to zawsze większa siła niż jeden, spędzałbym dzień gdzie indziej, nie w pokoju, tylko w czytelni albo w palarni, na korytarzach, w kasynie, po restauracjach, jak to czyni większość gości. A w nocy spałbym. Tymczasem znajduję się we władzy męczącej, niemądrej i wyniszczającej namiętności, polegającej na tym, że w ciągu dnia wiele godzin przesiaduję samotnie przy biurku, z wysiłkiem myślę, z wysiłkiem piszę, często tylko po to, by zniszczyć to, co napisałem; a w nocy wyglądam wprawdzie z żarliwą tęsknotą snu, ale zasypianie w moim przypadku to skomplikowany proces zmierzchu, który trwa godzinami, a potem sen jest bardzo lekki, bardzo wątki i kruchy, wystarczy tchnienia, by go przerwać. I nawet gdybym o dziesiątej czy o jedenastej był śmiertelnie zmęczony i senny, nie zdołam zasnąć, dopóki Holendrzy uprawiają życie towarzyskie.

I kiedy wyczerpany i stęskniony czekam północy, czekam, aż człowiek z Hagi zezwoli mi ewentualnie zasnąć, robię się wskutek czekania, nasłuchiwania i rozmyślenia o jutrzejszej porannej pracy tak czujny i rozbudzony, że mija większa część przyznaných mi sześciu godzin spoczynku, nim znajdę sen.

Czyż muszę dodawać, że zdaję sobie świetnie sprawę, jak bezzasadne są moje roszczenia w stosunku do Holendra? Czyż muszę zapewniać, że wiem doskonale, iż to nie on ponosi winę za mój marny sen i moje duchowe upodobania, tylko ja sam? Nie kreślę jednak tych linijek z Baden po to, by oskarżać innych albo wybielać siebie, ale po to, by opisać przeżycia, choćby i osobliwie zniekształcone przeżycia psychopaty. Owo dalej idące, bardziej skomplikowane pytanie o rację bytu psychopaty, owo straszliwe i wstrząsające pytanie, czy w pewnych warunkach historycznych i kulturowych nie jest godniej, szlachetniej i słuszniej zostać psychopata, niż dostosować się do tych warunków za cenę poświęcenia wszystkich swoich ideałów – to fatalne pytanie, zaprzatające wszystkie subtelne umysły od czasów Nietzschego, nie będzie tu poruszone; i tak stanowi temat niemal wszystkiego, co piszę.

Wskutek powyżej opisanych okoliczności zatem Holender stał się dla mnie problemem. Nie umiem sobie do końca wytłumaczyć, dlaczego w myślach i słowach odnoszę się zawsze do Holendra, w liczbie pojedynczej. To przecież para, jest ich dwoje. Ale czy to, że z instynktownej galanterii okazuję kobiecie więcej wyrozumiałości niż mężczyźnie, czy to, że dokuczają mi dzień w dzień głos i dość ciężkie kroki należące do mężczyzny, tak czy inaczej to nie „oni” przyprawiają mnie o cierpienia, tylko „on”, Holender. Instynktowne pomijanie kobiety w uczuciach wrogości oraz mitologizacja mężczyzny jako wroga i przeciwnika opiera się przecież na bardzo głębokich, elementarnych impulsach: Holender, mężczyzna o krzepkim zdrowiu, okazałym wyglądzie, godnym obejściu i pełnej portmonetce, jest dla mnie, outsidera, wrogiem już jako typ.

Jest to pan mniej więcej czterdziestodwuletni, średniego wzrostu, o mocnej, nieco krępej postaci, wywołującej wrażenie zdrowia i normalności. Twarz i figura krągłe i korpulentne, ale nie w sposób rażący; potężna głowa o nieco ciężkich powiekach wydaje się bardzo masywna i przytłacza całą sylwetkę, ponieważ osadzona jest na słabo zaznaczonej, cokolwiek przykrótkiej szyi. Zdrowie i waga ciała powodują, że jakkolwiek Holender jest powściągliwy w ruchach i odznacza się doskonałymi manierami, gesty jego i kroki są bardziej gwałtowne i donośniejsze, niż mogliby sobie życzyć sąsiedzi. Głos ma głęboki i monotony, stały co do wysokości i natężenia, cała osobowość obiektywnie sprawia wrażenie powagi i rzetelności, działa kojąco, niemal budzi sympatię. Co natomiast przeszkadza, to fakt, że Holender skłonny jest do drobnych przeziębień (zresztą jak wszyscy kuracjusze w Baden), a w efekcie do gwałtownego kichania i kaszlu; w tych odgłosach również przejawia się pewien impet i krzepkość sił.

Ów pan z Hagi ma zatem nieszczęście być moim sąsiadem, za dnia wrogiem, przeciwnikiem, a często burzycielem mojej duchowej pracy, przez część nocy – wrogiem i burzycielem mego snu. Rzecz jasna, nie co dzień odczuwałem jego istnienie jako karę i przekleństwo. Było wiele ciepłych, słonecznych dni, kiedy dane mi było pracować na dworze; ukryty w gąszczu hotelowego ogrodu, z teczką na kolanach, zapisywałem kartki albo z upodobaniem czytałem mego Jeana Paula. Natomiast w dni chłodne i deszczowe, a tych było bardzo wiele, musiałem tkwić ściana w ścianę z moim wrogiem; podczas gdy ja przyczajałem się bezgłośnie i w napięciu za biurkiem przy swoich zajęciach, Holender obok biegał tam i sam, napełniał umywalkę, spluwał do spluwaczki, rzucał się na krzesło, rozmawiał z żoną, śmiał się razem z nią z dowcipów, przyjmował wizyty. Często były to dla mnie bardzo ciężkie chwile. Miałem jednak potężne oparcie, mianowicie swoją pracę. Nie jestem pracusiem i nie zasługuję na nagrody za pilność, ale skoro już zacznę, skoro już raz pozwolę, by zawładnęła mną i oczarowała mnie jakaś wizja albo tok myśli, skoro już, z samozaparciem, wdam się w próbę ujęcia tych myśli w jakąś formę, jestem zaciekły i nic innego wtedy nie ma dla mnie znaczenia. Zdarzały się chwile, kiedy w numerze 64 cała Holandia mogła świętować w najlepsze, i wcale mi to nie przeszkadzało, ponieważ byłem zafascynowany i urzeczony samotną, fantastyczną i niebezpieczną grą cierpliwości, która angażowała mnie bez reszty, z piórem kurczowo zaciśniętym w garści pędziłem za myślą, budowałem zdania, dokonywałem wyboru między cisnącymi się skojarzeniami, uporczywie zarzucałem wędkę w poszukiwaniu trafnego słowa. Czytelnik może się w tym miejscu roześmiać, jednakże dla nas, piszących, pisanie jest za każdym razem szaleńczą, ekscytującą przygodą, przeprawą malutkim czółnem przez pełne morze, samotnym szybowaniem w kosmos. Szukając jednego jedyne słowa, wybierając jeden spośród trzech nasuwających się zwrotów jednocześnie zachować w duszy i uszach całe konstruowane właśnie zdanie; wykuwając zdanie,

wznosząc wybraną konstrukcję i dokręcając śruby rusztowań, tajemnym sposobem zarazem zachować w duszy ton i proporcje całego rozdziału, całej książki: to bardzo podniecająca czynność. Podobne napięcie i koncentrację znam z własnego doświadczenia tylko z chwil spędzonych przy sztalugach. Wtedy jest tak samo: starannie i trafnie dostroić pojedynczy kolor do koloru sąsiadującego to rzecz miła i łatwa, można się tego nauczyć i potem do woli praktykować. Ale cały czas mieć ponadto w głowie i uwzględniać wszystkie partie obrazu, nawet te jeszcze nie namalowane i niewidoczne, odbierać naraz całą rozległą sieć krzyżujących się impulsów: to rzecz niezwykle trudna i rzadko tylko się udaje.

Praca literacka wymaga więc takiej koncentracji, że przy silnym popędzie do tworzenia łatwo jest przewyciężyć zewnętrzne przeszkody i zakłócenia. Autora, któremu praca wydaje się możliwa tylko przy wygodnym stole i najlepszym świetle, przy użyciu własnych, zawsze tych samych przyborów piśmienniczych, na specjalnym papierze – takiego autora traktuję podejrzliwie. Zgoda, instynktownie szukamy wszystkich zewnętrznych ułatwień i wygod, ale jeśli ich brak, umiemy sobie i tak poradzić. Toteż często udawało mi się piórem stworzyć między sobą a numerem 64 dystans albo ścianę izolacyjną, które chroniły mnie w twórczych chwilach. Ale gdy tylko przychodziło zmęczenie, a skumulowany brak snu znakomicie je potęgował, zakłócenia znowu dawały o sobie znać.

Ze snem było daleko gorzej niż z pracą. Nie zamierzam wyklądać tu mojej czysto psychologicznie ugruntowanej teorii bezsenności. Powiem tylko, że ten czasowy immunitet względem Holandii, ta zdolność skoncentrowania się pomimo numeru 64 – że działało to tylko przy pracy, dzięki uskrzydającym siłom, sen mój natomiast nie miał już tego szczęścia.

Człowiek cierpiący na bezsenność, gdy dłuższy czas wydany jest na pastwę swej dolegliwości, podobnie jak większość ludzi w stanie nerwowego wyczerpania kieruje uczucia niechęci, nienawiści, i wręcz zapędy destrukcyjne przeciwko samemu sobie i najbliższemu otoczeniu. Ponieważ najbliższe otoczenie składało się w moim przypadku tylko z Holandii, w czasie bezsennych nocy gromadziły się we mnie z wolna niechęć, rozgoryczenie, nienawiść, które nie mogły rozproszyć się w ciągu dnia, ponieważ napięcie i dokuczliwe zakłócenia trwały dalej. Leżąc w łóżku, wybity przez Holendra ze snu, rozgorączkowany z przemęczenia i nieugaszonego pragnienia wypoczynku, i słysząc, jak za ścianą mój sąsiad z całą mocą, werwą i energią stąpa, jak energicznie i dziarsko się porusza, jak dobitnie się odzywa, odczuwałem wobec niego dość zajadłą nienawiść.

Cóż, przez cały czas byłem do pewnego stopnia świadomy, jak idiotyczna jest ta nienawiść, chwilami mogłem się z niej wciąż jeszcze śmiać i w ten sposób stępić jej ostrze. Rzeczą fatalną było jednak, że tę bezosobistą, skierowaną tylko przeciwko zakłóceniom mego snu, przeciwko mej własnej nerwowości, przeciwko nieszczelnym drzwiom nienawiść coraz trudniej było zneutralizować i rozładować w ciągu dnia, że stawała się coraz bardziej niedorzeczna i jednostronna, że przybierała charakter osobisty. Powtarzałem sobie i dowodziłem, że osobiście Holender nie jest tu niczemu winien, ale w końcu nawet to już nie pomagało. Po prostu go nienawidziłem, to nie tylko, powiedzmy, w chwilach, gdy jego sąsiedztwo było mi faktycznie uciążliwe, gdy w środku nocy jego głośnie kroki, słowa i śmiech w istocie okrutnie dawały mi się we znaki. Nie, teraz nienawidziłem go już zupełnie naprawdę, prawdziwą, naiwną, głupią nienawiścią, jaką nieudolny chrześcijański kupiec nienawidzi Żydów albo komunistę – kapitalistów, owym głupim, zwierzęcym, absurdalnym i w gruncie rzeczy tchórzliwym albo zawistnym rodzajem nienawiści, nad którym tak bardzo ubolewam u innych, który zatruwa politykę, interesy, życie publiczne i do którego – sądziłbym – ja sam jestem niezdolny. Nienawidziłem już nie tylko jego kaszlu, jego głosu, ale jego samego, realną osobę, i kiedy za dnia gdzieś go spotykałem, zadowolonego i niczego nie przeczuwającego, było to dla mnie za każdym razem spotkanie z zadeklarowanym wrogiem i szkodnikiem, i całej mojej filozofii starczało akurat na to, żeby mnie powstrzymać przed wyrażeniem tych uczuć. Jego gładka, pogodna twarz, ciężkie powieki, grube, uśmiechnięte wargi, brzuch opięty modną kamizelką, jego chód i zachowanie się – wszystko to było mi obmierzłe i nienawistne, a szczególnie już nienawidziłem wszelkich oznak jego siły, zdrowia i niespożytej żywotności, jego śmiechu, jego dobrego humoru, energicznych ruchów, apatycznie zadufkowanego spojrzenia, wszystkich tych niezliczonych oznak jego biologicznej i społecznej wyższości. Jasne, w ten sposób nie sztuka być zdrowym i dobrze usposobionym, nie

sztuka odgrywać zadowolone z siebie panisko, skoro dzień i noc facet karmi się snem i siłami innych, skoro wykorzystuje i chłepcze ze smakiem delikatność, spokojny tryb życia i opanowanie swoich sąsiadów, sam za to nie zna żadnych hamulców, w dzień i w noc wedle kaprysu wprawia w drżenie świat i dom. A niech go, tego typka z Holandii! Niejasno majaczył mi w głowie Latający Holender – czy i on nie był duchem przeklętym i demonem dręczycielem? Ale przede wszystkim przypominał mi się ów Holender, którego wizerunek nakreślił kiedyś poeta Multatuli, ów tłusty smakosz i ciułacz, którego bogactwo i syta pogoda ducha opierały się na wyzysku Malajów. Dzielny Multatuli!

Moi przyjaciele, którzy lepiej znają mój sposób myślenia i odczuwania, moją wiarę i świat wyobraźni, będą w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiałem w tym stanie upodlenia, jak bardzo ta przymusowa, w duchu nie aprobowana nienawiść do niewinnego człowieka musiała mnie dręczyć i mordować – i to nie dlatego, że mój „wróg” był niewinny, i nie dlatego, że mu wyrządziłem krzywdę swymi uczuciami, ale przede wszystkim z powodu niedorzeczności tej postawy, głębokiej, zasadniczej sprzeczności między moim praktycznym zachowaniem a tym wszystkim, co składa się na moją wiedzę, wiarę, religię. W nic bowiem w świecie nie wierzę tak głęboko, żadne inne wyobrażenie nie jest mi tak drogie jak wyobrażenie jedności, jak pogląd, że cały świat jest boską jednością i wszelkie cierpienie, wszelkie zło polega tylko na tym, że my, poszczególni ludzie, nie czujemy się już nieodłącznymi częściami tej całości, że Ja przydaje sobie zbyt wielkie znaczenie. Wiele się w życiu nacierpiałem, wiele wyrządziłem krzywd, wiele ściągnąłem na siebie głupstwa i goryczy, ale zawsze udawało mi się uwolnić, zapomnieć o swoim Ja i wyrzec się go, na powrót odczuć jedność, uznać rozdział rzeczy wewnętrznych i zewnętrznych, rozdział między Ja a światem za złudzenie i z zamkniętymi oczyma chętnie poddać się jedności. Nigdy nie było mi lekko, nikt chyba nie ma tak słabych zadatków na świętego jak ja; ale mimo to zawsze zdarzał mi się ten cud, któremu chrześcijańscy teologowie nadali piękne miano „łaska”, owo boskie przeżycie pojednania, zaniechania oporu, obojętności pogodzenia się, które wszak jest tożsame z chrześcijańskim wyrzeczeniem się siebie albo z hinduskim rozpoznaniem jedności. I oto znalazłem się znowu tak zupełnie poza jednością, znowu byłem odosobnioną, cierpiącą, nienawidzącą, wrogą jaźnią. Inni też znajdowali się w takiej sytuacji, nie byłem całkiem sam, jest mnóstwo ludzi, których całe życie polega na walce, wojowniczym obstawaniu przy swoim Ja przeciwko otaczającemu światu, którym nieznanne i obce są jedność, miłość, harmonia, którym wydałaby się czymś głupim i świadczącym o

słabości, ba – w praktyce cała przeciętna religia nowoczesnego człowieka polega na ubóstwieniu Ja i jego walki ze światem. Ale znajdować upodobanie w tym poczuciu swego Ja, w tej walce – to potrafią tylko naiwni, tylko silne, mocno stojące na nogach istoty naturalne; świadomym, tym, którzy cierpiąc przejrżeli na oczy, którzy dzięki cierpieniu ukształtowali się i rozwinęli – tym wzbronione jest znajdować w tej walce szczęście, dla nich szczęście możliwe jest tylko przez poświęcenie własnego, w doznaniu jedności. Ach, pozazdrościć prostaczkom, którzy umieją kochać samych siebie i nienawidzić swych wrogów, pozazdrościć patriotom, którzy nigdy nie musieli zwątpić w siebie, bo nigdy nie ponosili najmniejszej winy za nędzę i nieszczęścia swego kraju, bo winni byli naturalnie Francuzi, Rosjanie albo Żydzi, wszystko jedno kto, w każdym razie zawsze kto inny, „wróg”! Może ci ludzie, dziewięćdziesiąt procent wszystkich żyjących, są naprawdę szczęśliwi ze swoją barbarzyńską prareligią, może żyją sobie w najlepsze, pogodnie i łatwo, w pancerzu głupoty albo przebiegłej nienawiści do myślenia – choć i to jest nader wątpliwe, bo gdzież znaleźć wspólny miernik ich szczęścia i mego, ich cierpień i moich?

Myślałem o tym wszystkim pewnej długiej, męcząco długiej nocy. Jako ofiara Holendra, który obok za ścianą kaszłał, odpluwał i biegał w tę i z powrotem, leżałem rozgorączkowany i udręczony w łóżku, z oczami zmęczonymi zbyt długim czytaniem (co miałem innego robić?), i czułem, że trzeba wreszcie położyć kres tej sytuacji, tej męce i hańbie. Ledwo ta pewność, to przekonanie i decyzja zaświtały mi w głowie, z chłodną jasnością poranka, ledwo stanowczo i wyraźnie powiedziałem sobie w duszy: „Trzeba natychmiast skończyć tę mękę i znaleźć rozwiązanie”, a już nawiedziły mnie zwykłe wulgarne fantazje, dobrze znane każdemu neurotykowi z momentów szczególnej udręki. Dwie tylko drogi, zdawało się, mogą wyprowadzić mnie z tej fatalnej sytuacji; jedną z nich muszę obrać: albo się zabić, albo rzucić się na Holendra, złapać go za gardło i powalić na obie łopatki. (Właśnie znowu zakaszłał z imponującą energią.) Obie wizje były piękne i zbawcze, choć nieco dziecinne. Piękna była myśl, żeby wybrać któryś z typowych, często rozważanych sposobów i ukatrupić się: „Dobrze wam tak – zaraz sobie poderżnę gardło”. Kuszące było też drugie wyobrażenie, aby targnąć się nie na siebie, tylko na Holendra, udusić go albo zastrzelić, zatriumfować nad jego brutalną, prostacką witalnością.

Te naiwne wizje sprzątnięcia bądź samego siebie, bądź wroga wkrótce jednak ustały. Można się w to przez chwilę wdawać, można uciekać w fantazje, ale fantazje te szybko blakną i tracą urok, po krótkiej wędrówce przez ten labirynt chęć słabnie – jakoż musiałem sobie powiedzieć, że pragnienia te były jedynie chwilową egzaltacją, że naprawdę i na serio nie pragnę unicestwić ani siebie, ani Holendra. Wystarczyłoby mi, gdyby się oddalił. Spróbowałem oblec to jego oddalenie się w konkrety, zapaliłem światło, wyciągnąłem z szuflady rozkład jazdy i zadałem sobie trud opracowania kompletnego planu podróży, wedle którego Holender miałby wyruszyć jutro skoro świt i możliwie szybko dotrzeć do swej ojczyzny. Zajęcie to dało mi trochę rozrywki, widziałem już, jak ten człowiek wstaje o niezwyklej, chłodnej godzinie brzasku, widziałem i słyszałem, jak po raz ostatni robi toaletę w pokoju numer 64, wkłada buty, z trzaskiem zamyka drzwi, widziałem, jak trzęsąc się z zimna udaje się na dworzec i odjeżdża, widziałem go o ósmej rano w Bazylei, jak wyklóca się z francuskimi celnikami, i im dalej wyprawiały go moje marzenia, tym lżej było mi na duszy. Ale już w Paryżu wyobraźnia mnie zawiodła i cały obraz runął w gruzy, na długo zanim dotarłem z nim do granicy holenderskiej.

Cóż, to tylko zabawy. W tak prosty, tak gładki sposób nie dało się pokonać wroga, wroga, który tkwił we mnie. Nie chodziło o to, by zemścić się na Holendrze, chodziło jedynie o to, by zdobyć się wobec niego na jakąś sensowną, pozytywną i godną mnie postawę. Zadanie moje rysowało się jasno: musiałem zlikwidować moją bezsensowną nienawiść, musiałem pokochać Holendra. Wtedy niech sobie odchrząkuje i łomocze, miałem nad nim przewagę, byłem uodporniony. Jeśli uda mi się go pokochać, na nic się nie zda całe jego doskonałe zdrowie, cała witalność, będzie mój, jego obraz nie będzie już zaprzeczał powszechnej jedności. Dobrze więc, cel był godny, szło o to, by spożytkować moją bezsenną noc.

Zadanie było tyleż proste, co trudne, i naprawdę strawiłem niemal całą noc, aby się z nim uporać. Musiałem przeistoczyć Holendra, przerobić go, z obiektu mej nienawiści, ze źródła moich cierpień miał się przepoczwarzyć, przetworzyć w obiekt mojej miłości, mego zainteresowania, mej sympatii i braterskich uczuć. Jeśli się nie uda, jeśli nie zdołam osiągnąć temperatury odpowiedniej do przetopu, jestem zgubiony, Holender utkwi mi w gardle i będę się przez resztę dni i nocy nim dławił. To, co miałem do zrobienia, było tylko wypełnieniem owych przedziwnych słów: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze”. Dawno przyzwyczaiłem się brać te tak osobliwie zniewalające słowa Nowego Testamentu nie tylko w sensie moralnym, nie jako rozkaz, nie jako „powinność”, ale jako przyjacielską wskazówkę prawdziwego mędrca, który do nas mruga: „Spróbuj kiedyś wypełnić tę sentencję dosłownie, a zdziwisz się, jak ci to dobrze zrobi”. Wiedziałem, że sentencja ta nie jest jedynie najwyższym wymogiem moralnym, ale zawiera także najwyższą i najmądrzejszą z duchowych nauk szczęścia oraz że cała teoria miłości Nowego Testamentu, niezależnie od innych jej znaczeń, zawiera w sobie też bardzo przemyślaną technikę psychiczną. W tym przypadku leżało jak na dłoni, najmłodszy i najbardziej naiwny z psychoanalityków mógłby to tylko potwierdzić, że od wybawienia dzieli mnie jedynie ten jeden jeszcze nie spełniony wymóg – pokochania mego wroga.

Otóż powiodło się, Holender nie stanął mi w gardle, przetop się udał. Ale nie szło to łatwo, kosztowało mnie wiele potu i pracy, kosztowało mnie dwie czy trzy nocne godziny największego wysiłku. Ale wreszcie się stało.

Zacząłem od tego, że nakreśliłem sobie w duchu sylwetkę potwora, z maksymalną wyrazistością, aż nie brakowało mu ani jednego palca u ręki, nie brakowało trzewika, brwi, bruzdy na policzku, aż zobaczyłem go przed sobą w całej okazałości, wewnątrz całkowicie go posiadałem, mogłem sprawić, że idzie, siedzi, śmieje się i śpi. Wyobraziłem sobie, jak rano myje zęby i jak wieczorem zasypia z głową na poduszce, widziałem znużenie powiek, widziałem, jak szyja się odpręża, a ciało miękko opada. Trwało dobrą godzinę, nim doprowadziłem go do tego stanu. To już było niemało. Kochać coś – znaczy dla poety: wprowadzić to coś do swojej wyobraźni, ogrzewać i hołubić, bawić się tym, przepoić je własną duszą, ożywić własnym tchnieniem. Tak więc postępowałem z moim wrogiem, aż należał do mnie i wszedł we mnie. Bez tej jego przykrótkiej szyi pewnie by się nie udało, ale szyja przyszła mi z pomocą. Mogłem teraz Holendra rozbierać i ubierać, ustroić go w portki do kolan albo w surdut, usadzić w łódce albo za stołem, mogłem go zrobić żołnierzem, królem, żebrakiem, niewolnikiem, starcem albo dzieckiem, w każdej dowolnie zmienionej postaci miał krótką szyję i nieco wyłupiaste oczy. Ta cecha była jego słabym punktem, tu trzeba było przypuścić szturm. Dużo czasu minęło, nim udało mi się Holendra odmłodzić, zobaczyć jako młodego żonkosia, jako narzeczonego, jako studenta i ucznia. Dopiero gdy mi się wreszcie udało przemienić go w małego chłopca, szyja po raz pierwszy wzbudziła moją sympatię. Łagodną drogą współczucia podbił moje serce, gdy zobaczyłem, jak silny i energiczny chłopiec wzbudza niepokój rodziców owym lekkim objawem skłonności astmatycznych. Łagodną drogą współczucia posuwałem się dalej i nie było trzeba już wielkiej sztuki, by wyprodukować także nadchodzące lata i stadia życia. Gdy zapędziłem się dość daleko, by zobaczyć, jak ten człowiek, o dziesięć lat starszy, doznaje pierwszego udaru, nagle wszystko w nim nabrało wzruszającej wymowy, grubawe wargi, ciężkie powieki, jednostajny głos – wszystko zyskało zniewalającą siłę, i zanim w mej intensywnie pracującej

wyobraźni Holendra spotkała wyimaginowana śmierć, jego ludzkie cechy, jego słabość, jego nieunikniony zgon stały mi się tak serdecznie bliskie, że cała moja niechęć i pretensje dawno już gdzieś się zapodziały. Uradowany zamknąłem mu oczy, przymknąłem moje własne, bo nadszedł już ranek, i jak widmo, doszczętnie wyczerpany tym długim nocnym poematem, opadłem na poduszki.

Następnego dnia i następnej nocy miałem wiele okazji, by stwierdzić, że odniosłem zwycięstwo nad Holandią. Facet mógł śmiać się albo kaszleć, mógł prezentować się nie wiem jak zdrowo, stąpać nie wiem jak donośnie, mógł suwać krzesłami i strzelać dowcipami – nic nie wytrącało mnie z równowagi. W dzień udało mi się nie najgorzej pracować, w nocy – nie najgorzej spać.

Triumf mój był wielki, ale cieszyłem się nim niedługo. Nazajutrz po nocy zwycięstwa Holender nagle wyjechał, czym znowu mnie pokonał, zostawiając mnie osobiście rozczarowanym, ponieważ nie miałem już zastosowania dla swej ciężko wywalczonej miłości i odporności. Jego wyjazd, tak przeze mnie wyęskniony, sprawił mi niemal ból.

Jego miejsce w pokoju numer 64 zajęła drobna, siwa dama wyposażona w laseczkę z gumową nasadką, którą widywałem i słyszałem tylko z rzadka. Była idealną sąsiadką, nigdy mi nie przeszkadzała, nigdy nie wzbudziła we mnie gniewu czy nienawiści. Ale mogę to wyznać dopiero teraz, po upływie pewnego czasu. Przez wiele dni nowe sąsiedztwo było dla mnie ustawicznym rozczarowaniem, znacznie bardziej wolałbym mieć za ścianą znów mego Holendra, którego nareszcie mógłbym kochać.

ZNIECHĘCENIE

Gdy wspominam dziś optymizm mego pierwszego dnia w Baden, moją ówczesną dziecianną nadzieję, moje naiwne zaufanie do kuracji kąpielowej, a co dopiero moje wręcz frywolne, zarozumiałe wyobrażenia i szczeniacką próżność, która kazała mi z racji stosunkowo młodego wieku i czerstwych sił zaliczyć się do kategorii rokujących wyzdrowienie lekko chorych; gdy przypominam sobie cały beztrzesko lekkomyślny nastrój tych pierwszych dni, owo przekonanie, że mój ischias stanowi przypadek niewinny i uleczalny, ową prymitywną wiarę w Baden, w gorące źródła, w lekarza, w diatermię i lampę kwarcową – mam nieprzepatą chęć stanąć przed lustrem i pokazać samemu sobie język. Mój Boże, wyobrażenia się rozwiały, nadzieje zgasły, nie pozostało ani śladu po dziarsko wyprostowanym, sprężyście maszerującym, życzliwie uśmiechniętym nowicjuszu, który wywijając trzciniową laseczką, zachwycony sam sobą tanecznie szedł w dół zdrojowym deptakiem! Co za błazna z siebie robiłem! Tak – nie pozostało ani śladu z jakże optymistycznej, gładko polakierowanej, elastycznie dostosowującej się do okoliczności, światowej filozofii, którą wtedy wywijalem i mizdrzyłem się niczym trzciniową laseczką!

Laseczka zresztą pozostała niezmienniona. Nie dalej jak wczoraj z oburzeniem odrzuciłem ofertę kąpielowego, że nasadzi na koniec mojej ślicznej laski ten przekłety gumowy obcas. Ale kto wie, czy nie przyjmę oferty, jeśli zostanie jutro ponowiona?

Mam okropne bóle, i to nie tylko przy chodzeniu, ale także wtedy, gdy siedzę, toteż od przedwczoraj niemal cały czas leżę. Kiedy raniem wychodzę z kąpeli, dwa małe schodki kosztują mnie mnóstwo pracy, sapiąc, obłany potem wciągam się po poręczy, zaledwie mam siłę narzucić na siebie prześcieradło, a potem osuwam się na dobrą chwilę na krzesło. Wkładanie pantofli i szlafroka to nienawistny ciężki obowiązek, droga do siarczanego zdroju, a potem od zdroju do windy, od windy do pokoju to straszliwie mozolna, niekończąca się, bolesna wyprawa. Korzystam w czasie tej podróży z wszelkich możliwych środków pomocy, opieram się na kąpielowym, na framugach drzwi, na każdej poręczy, przytrzymuję się ścian, a nogami i ramionami posługuję się bez najmniejszego względu na estetykę, w tej melancholijnie żalostnej manierze przypominającej ruchy pływackie, jaką niegdyś (jakże to było dawno!) z pogodnym współczuciem zauważyłem u owej starej damy, która nieodparcie nasuwała mi skojarzenia z foką. Jeśli kiedykolwiek frywolna kpina spadła mściwie na głowę kpiarza, to właśnie w tym przypadku.

Rano, kiedy siedzę na skraju łóżka i wzdragam się przed męczącym zadaniem schylenia się po buty, albo kiedy po kąpeli, śmiertelnie wyczerpany, na wpół drzemiąc zwisam ze stołka w kabinie kąpielowej, pamięć podpowiada mi, że jeszcze niedawno, jeszcze parę tygodni temu zdarzały się ranki, kiedy ledwo wyskoczywszy z łóżka, energicznie i dokładnie wykonywałem ćwiczenia oddechowe, wyprężyłem pierś, wciągałem brzuch, wypuszczałem nagromadzone powietrze miarowo i rytmicznie jakbym grał na oboju. Musi to być prawda, ale trudno mi uwierzyć, że kiedyś byłem w stanie ze sztywno wyciągniętymi nogami i ściągniętymi kolanami stawać na sprężynujących palcach, że mogłem wykonywać głębokie powolne przysiady i wszystkie inne popisy gimnastyczne!

Owszem, zapowiedziano mi zaraz na początku kuracji, że takie reakcje mogą wystąpić, że kąpiele bardzo wyczerpują i że u niektórych pacjentów kuracja jeszcze bardziej potęguje bóle. Cóż, pokiwałem na to głową. Ale że to wyczerpanie może być tak straszliwe, natężenie bólów tak gwałtowne i druzgoczące – tego się nie spodziewałem. W ciągu tygodnia stałem się starcem, który w domu i w ogrodzie posiada sobie na ławkach i za każdym razem trudno mu się podnieść, który nie wspina się już po schodach i któremu windziarz musi pomagać przy wsiadaniu i wysiadaniu.

Także zewnętrzny świat przysparzał mi rozczarowań. W Zurychu, dwa kroki stąd, siedzi tylu moich bliskich przyjaciół, wiedzą, że jestem chory i że odbywam tu kurację, dwaj, kiedy odwiedziłem ich w przejeździe, przyrzekli nawet złożyć mi wizytę. Ale żaden nie przyjechał i naturalnie żaden nie przyjedzie; a że ja uwierzyłem i cieszyłem się na te odwiedziny, to kolejny przykład mojej niepoprawnej naiwności. Nie, naturalnie, że nie przyjadą, wiem przecież, jak bardzo ci biedni udęczeni ludzie są zajęci, i jak często zdarza im się późno chodzić spać, po teatrze, restauracji, imprezie towarzyskiej; było głupotą z mojej strony, żem o tym nie pomyślał i jak małe dziecko ufał niezawodnie, iż ludziom tym przyjemnie będzie odwiedzić chorego i nudnego człowieka. Ale zawsze oczekuję nadzwyczajności, spodziewam się nie wiedzieć czego; zaledwie kogoś poznam i znajdę go sympatycznym, już przypisuję mu wszystko, co najlepsze, ba – żądam tego, i jestem rozczarowany i zasmucony, gdy się to nie zgadza z rzeczywistością. Tak właśnie było z dość ładną i młodą damą w hotelu, z którą kilkakrotnie wdąłem się w rozmowę i która naprawdę mi się podobała. Kiedy zaś wymieniła mi jako swoje ulubione książki kilka kiepskich powieści, na chwilę wprowadziłem się przeraziłem, ale zaraz powiedziałem sobie, że ja, fachowiec i znawca w kwestiach literackich, nie mam prawa zakładać u innych wyrobionego sądu i zrozumienia w tych sprawach. Przełknąłem te tytuły, skarciłem samego siebie i nadal widziałem w damie wszystko, co najlepsze i najszlachetniejsze. Ona zaś wczoraj wieczorem w salonie dopuściła się tej straszliwej zbrodni! Miła, pogodna i nawet niebrzydka niewiasta, kobieta, która w mojej obecności na pewno nie uderzyłaby dziecka ani nie dręczyła zwierzęcia, w mojej obecności, z podniesionym czołem i niewinnymi oczyma, przy fortepianie zgwałciła i zaszlachtowała niewprawnymi, za to silnymi rękami uroczy osiemnastowieczny menuet! Byłem przerażony i czerwony ze wstydu, tymczasem nikomu z obecnych nie przyszło do głowy, że oto dzieje się coś złego, siedziałem sam z mymi niemądrymi uczuciami.

O, jakże tęskniłem do swojej samotności, do jaskini, której nigdy nie powinienem był opuszczać, gdzie wprawdzie dużo jest cierpienia i niedoli, ale nie ma fortepianów, rozmówek literackich, wykształconych bliźnich!

I cała kuracja, całe Baden tak strasznie mi obmierzło. Spośród gości naszego hotelu przyłaczająca większość jest tu nie po raz pierwszy, wielu jest w Baden szósty, dziesiąty raz z kolei, i wedle rachunku prawdopodobieństwa ze mną będzie dokładnie tak samo, jak z nimi, jak ze wszystkimi chorymi na przemianę materii: mianowicie dolegliwości będą z każdym rokiem gorsze, a nadzieja ozdrowienia ustąpi skromniejszej nadziei, że te kuracje przynajmniej rokrocznie sprawiają pewną ulgę. Lekarz pozostaje wprawdzie przy swoich zapewnieniach, ale na tym polega jego zawód, jeśli zaś pacjenci wyglądają na pozór dobrze i wydają się w najlepszej kondycji, o to już troszczy się materialnie obfite jedzenie, a kolorystycznie lampa kwarcowa, która zdoła nas opalenizną, wskutek czego wyglądamy jak ludzie, co to w kwitnącym stanie wrócili właśnie z górskich wywczasów.

W dodatku w tej gnuśnej i rozleniwiającej atmosferze uzdrowiska człowiek ulega też demoralizacji. Parę moich zdrowych spartańskich nawyków, które przyswoiłem sobie z biegiem lat, oddychanie i gimnastyka, upodobanie do skromnego jadła – wszystko to utraciłem, zresztą pod bezpośrednim wpływem lekarza; znikła też moja początkowa ochota do obserwacji i pracy. Nie iżby mi było szkoda mego dzieła – przeciwnie, ta „Psychologia Balnearia”² od początku nie była zamierzona jako opus, nie była celową próbą twórczą, tylko ot takim sobie zajęciem, drobnym codziennym ćwiczeniem oka i ręki. Ale i tu wkracza lenistwo, zużywam coraz mniej atramentu. Gdyby nie zwycięstwo nad Holendrem, które i tak przyszło mi nieproporcjonalnie ciężko, byłbym zmuszony stwierdzić moralny upadek i zgniliznę. A w wielu sprawach jestem do takiej konstatacji faktycznie zmuszony. Przede wszystkim ogarnęło mnie jakieś lenistwo, jakieś gnuśne zniechęcenie, które powstrzymuje mnie od wszystkiego, co dobre i pożyteczne, szczególnie od najdrobniejszego choćby wysiłku fizycznego. Zaledwie zmuszam się do minimalnych spacerów, po posiłkach, tak samo jak po kąpielach i zabiegach, wyleguję się godzinami w łóżku albo na leżaku, a jak się miewam duchowo, o tym będę się mógł przekonać z całą dobitnością później, gdy kiedyś przeczytam te głupie zapiski, którymi wciąż jeszcze, z resztki poczucia obowiązku, męczę się przez godzinkę. Cały składam się już wyłącznie z lenistwa, mdłej nudy, gnuśnej senności.

2 Pierwotny tytuł niniejszego utworu Hessego brzmiał *Psychologia Balnearia oder Glossen eines Badener Kurgastes* (*Psychologia balnearia albo glossy badeńskiego kuracjusza*) – przyp. tłum.

Nie będzie mi oszczędzone jeszcze bardziej zawstydzające wyznanie. Dość źle już, że nie mogę pracować, myśleć, zaledwie czytam, że duchowo i cieleśnie utraciłem wszelką rzeźkość i energię, ale to nie wszystko. Zacząłem mianowicie ulegać akurat najbardziej powierzchownym i ogłupiającym, jałowym i występny stronom leniwego życia kurortowego. Na przykład przy obiedzie nie jem już wszystkich tych pysznych tłustych kąsków ot, tak sobie, dla żartu i z wewnętrzną wyższością albo przynajmniej ironią, jak to robiłem na początku – nie, zajadam, zażeram się, choć od dawna już nie wiem, co to głód, pochłaniam to wykwintne, długie menu dwa razy dziennie z nieopanowaną, idiotyczną łapczywością człowieka znudzonego, tłustego, antypatycznego burżuja, do kolacji piję też przeważnie trochę wina, a przed pójściem spać przyzwyczailem się wypijać butelkę piwa, którego nie piłem już chyba od dwudziestu lat. Najpierw zażywałem piwa w charakterze środka nasennego, bo tak mi zalecono, ale od jakiegoś czasu piję już tylko z przyzwyczajenia i łakomstwa. Nie do wiary, jak szybko człowiek uczy się rzeczy złych i głupich, jak łatwo stać się ohydny leniuchem, paskudny tłusty żarłokiem!

Ale mój talent do zdrożności nie zadowolili się bynajmniej obżarstwem i opilstwem, próżnowaniem i wylegiwaniem się. Z rozpustą i lenistwem fizycznym idzie ręka w rękę duchowe. Stało się to, czego bym nigdy nie przypuszczał: unikam, nie tylko w sferze duchowej, wszelkich męczących, niewydeptanych i niebezpiecznych ścieżek, za to łaknę, także w sferze duchowej, leniwie i żarłocznie właśnie tych mdłych, perwersyjnych, głupio pompatycznych i beztreściwych rozrywek, od których zawsze stroniłem, których nie znosiłem i z których powodu niekiedy piętnowałem i obdarzałem pogardą burżuja i mieszczaucha w szczególności, a naszą epokę i cywilizację w ogólności. Tak bardzo zbliżyłem się teraz do poziomu przeciętnego kuracjusza, że nie tylko nie unikam i nie odrzucam części tych przyjemności, ale przeciwnie – poszukuję ich i biorę w nich udział. Nie minie wiele czasu, a będę jeszcze czytał listę kuracyjną (ze wszystkich tutejszych rozrywek ta jest dla mnie najbardziej zagadkowa), będę po południu rozprawił z panią Müller o jej reumatyzmie i wszelkich rodzajach ziółek, które na to pomagają, i będę wysyłał przyjaciołom widokówki przedstawiające parę narzeczeńską albo owe nieporównane rzepki.

Na koncertach w domu zdrojowym, których przez długi czas tak pedantycznie unikałem, bywam teraz często i siedzę tak jak wszyscy na krzeselku, słucham przepływającej obok muzyki rozrywkowej i mam miłe uczucie, że w ten sposób słyszalnie i namacalnie upływa kawałek czasu, którego my, kuracjusze, mamy tak w nadmiarze. Niekiedy zniewala mnie i oczarowuje także sama muzyka, czysto zmysłowa magia kilku dobrze obsługiwanych instrumentów, przy czym do mej świadomości nie dociera nic z charakteru i treści granych utworów. Wysłuchuję teraz bez trudu do końca łagodnych kawałków, których sam układ i nuty skądinąd wzbudziłyby we mnie wstręt. Siedzę kwadransik, czasem i pół godziny, zmęczony i brzydsko zgarbiony, w gromadzie innych znudzonych ludzi, jak oni słucham upływu czasu, jak oni robię znudzoną minę, niekiedy drapię się bezmyślnie w szyję albo kark, opieram podbródek na uchwycie laski albo ziewam, i tylko w rzadkich chwilach dusza moja wzdryga się i miota z przerażeniem, jak stepowe zwierzę, które nagle budzi się w chlewiku, ale wkrótce znowu zadrzemie, zapadnie w sen i będzie dalej śniła, skrycie, bez mego udziału, bo ja – odkąd przesiaduję na koncertowym krzeselku – rozstałem się z duszą.

I dopiero teraz, gdy sam stałem się naprawdę częścią tłumu, przeciętnym kuracjuszem, znudzonym, ospałym filistrem, dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jakiego żalosego głupca robiłem z siebie, prezentując się na pierwszych stronach tych zapisków jako normalny przedstawiciel tego świata i mentalności. Czyniłem to z ironią, a dopiero teraz, gdy faktycznie należę do normalnego świata powszedniego, gdy bez duszy siedzę w kasynie i chłopcę muzykę rozrywkową, niczym herbatę albo piwo, dopiero teraz czuję naprawdę, jak bardzo, jak gorzko nienawidzę tego świata. Bo teraz nienawidzę, pogardzam i wyszydzam w tym świecie samego siebie, nic innego. Nie, paktować z tym światem, należeć do niego, mieć w nim znaczenie i mieć się dobrze – czuję to w tym momencie każdym włókienkiem mej istoty – to nie dla mnie, tego mi nie wolno, to grzech przeciwko wszystkiemu, co znam jako dobre i święte, i w czym uczestniczyć jest dla mnie szczęściem. I tylko z tej racji, tylko dlatego, że dopuściłem się tego grzechu, że wdałem się w układy z tym światem i przyjąłem go, tylko dlatego jest mi teraz tak okropnie na duszy! A jednak trwam w tym dalej, lenistwo jest silniejsze niż moja wiedza, tłusty, gnuśny brzuch jest silniejszy niż nieśmiało lamentująca dusza.

Czasem daję się też wciągać współkuracjuszom w rozmówki, stoimy po posiłku chwilę na korytarzu i wyrażamy całkowicie zgodne poglądy w kwestii polityki i walut, pogody i kuracji, a także filozofii życiowej i kłopotów rodzinnych. Że młodym ludziom potrzeba w końcu jakiegoś autorytetu, i że nikomu nie zaszkodzi, jeśli sobie trochę poharuje i pobieduje, i tym podobne poglądy, którym z góry skwapliwie potakuję, dla których z pełnym brzuchem wyrażam moje pełne poparcie. Dusza od czasu do czasu się wzdrygnie, słowo stanie mi kością w gardle i muszę prędko i bezwarunkowo uciekać i szukać samotności (jakże trudno ją tu znaleźć), ale ogólnie rzecz biorąc dopuściłem się i tego grzechu przeciwko duchowi – grzechu głupiej, bezcelowej gadaniny, gnuśnego, bezmyślnego potakiwania.

Inna rozrywka, do której się tu zaczynam przyzwyczajać, to kinematograf. Wiele wieczorów przepędziłem już w kinie, a jeśli za pierwszym razem chciałem tylko być wreszcie sam, nie musieć słuchać rozmówek i uciec przed przekleństwem Holendra, to po raz drugi poszedłem już dla przyjemności, w poszukiwaniu rozrywki (przyzwyczailem się nawet do słowa „rozrywka”, przedtem nieobecnego w moim słowniku!). Byłem w kinie wiele razy i uwiedziony i otępiały rozkoszą, jaką oczy znajdują w grze obrazów, zniosłem bez sprzeciwu nie tylko najokropniejszą i najbardziej antypatyczną – obok złej muzyki – namiastkę sztuki i dramatyizmu, ale również tak fizycznie, jak psychicznie zniosłem okropną atmosferę tego lokalu. Zaczynam wszystko znosić, wszystko przełykać, nawet to, co najgłupsze i najbrzydsze. Godzinami patrzyłem, jak kręci się taśma, na której pokazują starożytną cesarzową wraz z teatrem, cyrkiem, świątynią, gladiatorami, lwami, świętymi i eunuchami, i zniosłem bez sprzeciwu, że najwyższe wartości i symbole, że tron i berło, ornat i aureolę, krzyż i jabłko cesarstwa wraz ze wszystkimi możliwymi i niemożliwymi skłonnościami i stanami duszy, że ludzi i zwierzęta setkami wykorzystuje się tu do żalonych celów i wystawia na pokaz, że to samo w sobie przepyszne przedsięwzięcie dewaluuje się przez niekończący się, w pełni idiotyczny tekst, zostaje zatrute przez fałszywy dramatyzm, a przez pozbawioną serca i mózgu publiczność (do której ja sam należę) zbezczeszczone i zdegradowane do jarmarcznej uciechy. Chwilami rzecz stawała się straszna, często bliski byłem ucieczki, ale ischiatycy nie uciekają tak szybko, zostałem, obejrzałem całą tę tandetę do końca i zapewne jutro lub pojutrze znowu udam się do ciemnej salki. Byłoby nieuczciwe, gdybym chciał zaprzeczać, że widziałem w kinie również rzeczy zachwycające, zwłaszcza sympatycznego francuskiego akrobatę i komika, który miewa lepsze pomysły niż większość poetów. Co piętnuję, co mnie złości i brzydzi, to nie kinematograf, tylko ja sam, widz. Kto mnie zmusza, by tam iść, cierpieć ohydłą muzykę, czytać

idiotyczne teksty, przysłuchiwać się rehotowi tłumy, moich niewinnych braci? Widziałem – dalej mowa o owym monumentalnym filmie – jak tuzin wspaniałych lwów, które dwie minuty temu oglądaliśmy jeszcze żywe, w charakterze sztywnych zwłok ciągnie się teraz po piasku, i słyszałem jak połowa widzów kwituje ten okrutnie przygnębiający widok donośnym śmiechem! Czy w tutejszych gorących źródłach coś się zawiera, jakaś sól, kwas, wapń, coś, co człowieka spłascza, zakłada blokadę na wszystko, co wzniosłe, szlachetne, wartościowe, a znosi blokadę na prymitywizm i wulgarność? Cóż, chylę czoła i wstydę się, a na przyszłość, na czas powrotu w moje stopy, poczyniłem pewne śluby.

Czy doszedłem wreszcie do końca mojej listy złych nawyków i świeżo nabytych nałogów? Nie, to jeszcze nie koniec. Poznałem też hazard, niejednokrotnie z przyjemnością i napięciem grywałem przy zielonym stoliku, a także przy maszynie, która różnymi małymi otworami pochłania srebrne monety. Nie mogę niestety grać tak naprawdę, bo mam mało pieniędzy, ale robiłem, co było w mej mocy, i dwa razy poszczęściło mi się do tego stopnia, że grając przez dobrą godzinę, nie straciłem na koniec więcej niż franka lub dwa. Nie doświadczyłem w ten sposób naturalnie prawdziwych emocji gry, ale i z tego kwiatka dane mi było uszczknąć, i nie przeczę, że sprawiło mi to wielką frajdę. Muszę też wyznać, że nie miał w tym przypadku wyrzutów sumienia, jak to bywało przy koncertach, rozmowach z gośćmi i lwach w kinie – nie, zakazany i antyburżujski charakter tego nałogu smakował mi wyśmienicie i żałuję szczerze, iż nie mogłem ryzykować grubszych stawek.

Gra dostarczała mi takich oto na przykład doznań: stałem najpierw chwilę przy zielonym stoliku patrząc na ponumerowane pola, i nasłuchiwałem głosu krupiera. Wywoływana liczba, liczba wybrana przez toczącą się kulkę, przed sekundą jeszcze ślepa, głupia, niczym się nie wyróżniająca, nagle rozjarzała się promiennie – w głosie tego mężczyzny, w wybranym przez kulkę otworze, w uszach i sercach słuchających ludzi. *Quatre*, na przykład, albo *cing*, albo *trois*, i numer rozbłyskiwał nie tylko w moich uszach i świadomości, nie tylko na wklęsłej, stożkowatej bieżni kuli, ale także na zielonym suknie. Gdy wyszła siódemka, sztywna, czarna cyfra siedem na przynależnym do niej zielonym polu na moment nabrała odświętnego blasku, strąciła wszystkie inne w niebyt, bo wszystkie inne były tylko możliwościami, a jedynie ona była spełnieniem, była rzeczywistością. Przechodzenie możliwości w rzeczywistość, czekanie, aż to nastąpi, i zainteresowanie w wyniku – na tym polega dusza gry. Po kilku minutach takiego przypatrywania się i przysłuchiwania, gdy gra stopniowo poczyniała mnie wciągać, nadchodził pierwszy piękny i słodko podniecający moment: wywołano szóstkę, a ja nie byłem tym zaskoczony, szóstka wyszła w sposób tak prawidłowy, oczywisty i prawdziwy, jak gdybym jej właśnie oczekiwał, ba – jak gdybym sam ją przywołał, jak gdybym ją zrobił i stworzył. Od tej chwili dusza moja uczestniczyła w grze, wietrzyła los, czuła się zaprzyjaźniona z przypadkiem, a jest to, muszę przyznać, wielce uszczęśliwiające poczucie, jest to rdzeń i magnes wszelkiej gry. Następnie usłyszałem, że wychodzi siódemka, potem jedynka, potem ósemka, nie czułem się zaskoczony ani rozczarowany, zdawało mi się, że mam się właśnie tych liczb spodziewać, i kontakt został nawiązany, płynąłem z prądem i mogłem mu się poddać. Teraz nie spuszczałem oka z zielonej powierzchni, odczytywałem liczby i któraś z nich mnie przyciągała, słyszałem, jak mnie woła (czasem wołały mnie dwie naraz), widziałem, jak daje mi lekkie znaki, i na tę liczbę stawiałem franka. Jeśli nie wyszła, nie byłem rozczarowany ani zawiedziony,

mogłem spokojnie czekać, moja szóstka albo dziewiątka w końcu wyjdzie. I wychodziła, za drugim albo trzecim razem, wychodziła naprawdę. Ów moment wygranej jest czymś cudownym. Zawołałeś los, zdałeś się na niego, wierzysz, że znajdujesz się w kontakcie z wielką tajemnicą, masz niejasne poczucie, że jesteś z nią sprzymierzony i zaprzyjaźniony – i patrz, to prawda, potwierdza się, twoje ciche, tajemne wyobrażenie, twoje małe, skrywane marzenie promienieje, spełnia się cud, przecucie staje się rzeczywistością, twoja liczba została wybranką wszechpotężnej kuli szczęścia, mężczyzna wprawiający krążek w ruch wywołuje ją donośnie, i mężczyzna przy stoliku rzuca ci garść błyszczących monet. To rzecz niezwykle miła, czyste szczęście, i nie ma to wcale związku z pieniędzmi, gdyż ja, piszący te słowa, nie zachowałem z wygranych sum ani franka, wszystko pochłonęła znów gra, a mimo to te piękne chwile wygranej, te cudownie intymne, dziecinnie zaokrąglone i syte chwile spełnień lśnią dalej niezmałym, czarownym blaskiem, każda była jak ustrojona od dołu do góry choinka, każda była cudem, każda była świętem, i to świętem dla duszy, potwierdzeniem i spotęgowaniem najbardziej wewnętrznego, najgłębszego instynktu życia. Zapewne, te same radości, to samo cudowne szczęście można przeżywać na wyższym poziomie, w szlachetniejszych i bardziej subtelnych formach: rozbłysk głębokiego poznania, moment wewnętrznego zwycięstwa, a przede wszystkim twórcze chwile, chwile odkrycia, nagłe mgnienie pomysłu, triumfujące domacywanie się sedna rzeczy w pracy artysty – wszystko to, w wyższych rejonach, podobne jest do przeżycia wygranej jak obraz i jego zwierciadlane odbicie. Ale jakże rzadko nawet najszczęśliwszy, obdarzony łaską człowiek zaznaje tych szczytnych boskich chwil, jak rzadko rozbłyskuje przed nami, znużonymi ludźmi późnej epoki, uczucie spełnienia, sycące uczucie szczęścia, które siłą i wspaniałością równa się tylko szczęściu zaznawanemu w dzieciństwie! Za tymi właśnie przeżyciami goni gracz, nawet jeśli pozornie chodzi mu o pieniądze.

Chce schwytać rajskiego ptaka radości, tak rzadkiej w naszym gładkim, jałowym życiu, do tego ptaka iskrzą się jego stęsknione oczy.

Szczęście toczyło się kapryśnie, niekiedy stapałem się z nim w jedno, sam siedziałem w pomykającej kuli, wygrywałem i przenikał mnie dreszcz cudownego podniecenia. Potem szczytowy moment mijał. Miałem kieszeń pełną wygranych monet i uczucie pełni stopniowo ustępowało, ku memu zaskoczeniu wyszła jedyńka, wyszła czwórka, były mi wrogie i kpiły sobie ze mnie. Zrobiłem się niespokojny i bojaźliwy, stawiałem na liczby, nie mając do nich owego wewnętrznego przekonania, wahałem się długo między parzystymi i nieparzystymi, ale coś zmuszało mnie, by stawiać dalej, aż przegrałem znowu całą garść monet. I nie dopiero później, ale już w tej samej chwili, już w czasie gry, odczułem głębię metafory, ujrzałem w grze odzwierciedlenie życia, gdzie wszak dzieje się zupełnie tak samo, gdzie niezbadana, irracjonalna intuicja daje nam do ręki potężny czar, wyzwala kolosalne siły, gdzie z chwilą gdy dobre instynkty słabną, włącza się krytycyzm i rozum, lawirują przez chwilę i stawiają opór, aż stanie się to, co stać się musi, całkiem bez naszego udziału i ponad naszymi głowami. Osłabły gracz, który przekroczył punkt kulminacyjny, a wciąż nie może przestać, którym nie kieruje już intuicja ani siła wiary, podobny jest do człowieka, który w ważnych sprawach życiowych stoi bezradny, nie wiedząc, co począć, zamiast odczekać i zamknąć oczy kalkuluje, wytęża się, forsuje intelekt i ostatecznie na pewno uczyni fałszywy krok. A jedna z najniezawodniejszych reguł przy zielonym stoliku brzmi: jeśli widzisz gracza, który znużył się i ma pecha, który stawia wielokrotnie z rzędu to na ten, to na tamten numer, a potem znowu go porzuca – stawiaj zawsze na liczbę, którą tamten daremnie oblegał i którą zniechęcony porzucił, wyjdzie na pewno.

Gra o pieniądze różni się osobliwie od wszystkich innych mieszczańskich i kurortowych uciech. Tu, przy zielonym stoliku, nie czyta się książek, nie prowadzi jałowych konwersacji ani nie robi pończoch na drutach, jak na koncertach i w parku zdrojowym, tu nikt nie ziewa ani nie drapie się w kark, tu nawet reumatycy nie siedzą, tylko stoją, stoją długo i z wysiłkiem, heroicznie stoją na własnych, skądinąd tak oszczędzanych nogach. W kasynie nie opowiada się dowcipów, nie mówi o chorobach ani o panu Poincaré, niemal nigdy nie słycać śmiechu, przypatrujący się tłum stoi z powagą szepcząc wokół stołu, głos krupiera jest stłumiony i uroczysty, srebrne monety na zielonym suknie wydają stłumiony i delikatny dźwięk, i już to, już samo to skupienie, niejaka dyskrecja i dostojność dają grze w moich oczach bezmierną przewagę nad innymi rodzajami rozrywek, przy których ludzie zachowują się tak głośno, niezręcznie i bez opanowania. Tu, w kasynie, panuje nastrój uroczystej powagi i odświętności, goście wchodzą cicho i nieco onieśmieleni, jak do kościoła, odważają się zaledwie szeptać, patrzą z nabożeństwem na mężczyznę we fraku. On zaś zachowuje się wzorowo, nie jak osoba, ale jak neutralny przedstawiciel, wypełniający misję, piastujący godność.

Nie mogę zgłębiać tu psychologicznych przyczyn tego odświętłego nastroju, tej pięknej, dobroczynnej atmosfery nabożeństwa, gdyż dawno już rozstałem się ze złudzeniem, iż moja „Psychologia Balnearia” mogłaby traktować o jakiegokolwiek innej *psyche* niż o mojej własnej. Przypuszczalnie ów uroczysty, ściszony nastrój pełen godności i oddania w kasynie bierze się po prostu stąd, że nie chodzi tu o muzykę, dramat czy temu podobne dziecinady, ale o rzecz najpoważniejszą w świecie, najukochańszą i najświętszą, jaką ludzie znają – o pieniądze. Ale, jak powiedziałem, nie chcę się w to wdawać, nie należy to do kręgu moich problemów. Stwierdzam tylko, że w przeciwieństwie do wszelkich innych popularnych uciech tu, w kasynie, panuje atmosfera nie pozbawiona nabożnego szacunku. I podczas gdy na przykład w kinie publiczność nie krępuje się zbyt w wyrażaniu aprobaty i niesmaku, to tu nawet główny aktor, gracz, i to nawet w momencie najbardziej gwałtownych, uzasadnionych i uprawnionych emocji, mianowicie przy wygrywaniu i przegrywaniu, czuje się zobowiązany okazywać fason i godność. Widzę tu, jak te same osoby, które przy codziennej partyjce kart kwitują przegraną dwudziestu centów wybuchem najfatalniejszego humoru, manifestującego się w przekleństwach i złorzeczeniach, przegrywają stokroć więcej i – cóż, nie powiem, że nawet nie drgnie im rzęsa, bo rzęsa owszem drga – ale nie podnoszą głosu i nie zdręczają otoczenia nieprzystojnymi wybuchami uczuć.

Ponieważ mądre rządy troszczą się o wszystko, co może podnieść poziom edukacji narodu, i wspierają wszystkie służące temu instytucje, ośmielam się, choć laik w tej dziedzinie, zwrócić fachowcom uwagę na fakt, że spośród wszystkich gier, rozrywek i przyjemności żadna nie skłania uczestników do opanowania, spokoju i powściągliwych manier tak skutecznie, jak hazard w publicznym kasynie.

Jakkolwiek gra wydaje mi się rzeczą tak sympatyczną, a nawet dobroczynną, miałem też okazję, by rozważyć jej cienie, a raczej by ich eksperymentalnie doświadczyć. Tylekroć z namiętym moralnym patosem przez ekonomistów podnoszone obiekcje wobec hazardu wydają mi się nieistotne. Okoliczność, że gracz może zbyt łatwo wygrać pieniądze i skutkiem tego nauczyć się pogardy dla świętej pracy, że z drugiej strony grozi mu, iż zgra się do nitki, że po trzecie, wskutek długiego przypatrywania się toczącym się kulkom oraz stosom monet może wręcz stracić respekt dla pieniędzy, co jest kamieniem węgielnym ekonomiczno-mieszczańskiej moralności – wszystko to prawda, ale trudno mi owe niebezpieczeństwa brać na serio. W moich oczach psychologa szybka utrata majątku i zachwianie wiary w świętość pieniądza dla bardzo wielu ciężko chorych na duszy ludzi nie jest zgoła nieszczęściem, ale oznacza najpewniejszą, ba – jedyną szansę ratunku, a ponadto na tle naszego dzisiejszego życia, w przeciwieństwie do powszechnego kultu pracy i pieniądza zmysł rozstrzygającej się w ułamku chwili gry, gotowość zdania się na przypadek, zaufanie do kaprysów losu wydaje mi się czymś na wskroś pożądanym, czymś, czego nam wszystkim dotkliwie brak.

Nie, co moim zdaniem stanowi wadę hazardu oraz mimo jego wspaniałych stron ostatecznie jednak czyni zeń nałóg, to sprawa natury czysto psychicznej. Wedle moich osobistych, nader miłych doświadczeń codzienne dwadzieścia minut napięcia przy ruletce i nierealnej atmosfery kasyna wprawia w uszczęśliwiające podniecenie. Dla znudzonej, czczej, zmęczonej duszy jest to prawdziwy źródło kryniczny, jeden z najlepszych, jakiego kosztowałem. Wadą jest tylko (wadą zresztą, która łączy hazard z nie mniej błogim alkoholem) – wadą jest tylko, że przy grze całe to lubie podniecenie przychodzi z zewnątrz oraz jest czysto mechaniczne i materialne, toteż istnieje niebezpieczeństwo, że zdawszy się na ów zawsze działający mechanizm podniecenia, zaniedbamy ćwiczeń własnych, zaniedbamy aktywności duchowej i w końcu całkiem ją utracimy. Jeżeli duszę wprawia się w ruch tylko mechanicznie, za pomocą ruletki, miast poprzez myślenie, marzenia, fantazjowanie albo medytację, jest to mniej więcej tak, jakbyśmy wprawdzie zapewnili naszemu ciału kąpiele i masaże, ale zrezygnowali z własnej aktywności, ze sportu i ćwiczeń. Na podobnym oszustwie zasadza się mechanizm podniety w przypadku kinematografu, który zastępuje własną artystyczną aktywność oka, odkrywanie, wyszukiwanie i utrwalanie rzeczy pięknych i zajmujących przez czysto materialną strawę wzrokową.

Nie, jak oprócz masażysty potrzebna nam jest gimnastyka, tak dusza zamiast albo oprócz gry i wszystkich tych słodkich podniet pilnie potrzebuje własnej aktywności. Toteż stokroć lepsze od hazardu są wszelkie aktywne ćwiczenia duszy: zdyscyplinowany, ostry trening myślenia i pamięci, ćwiczenie w odtwarzaniu widzianych rzeczy przy zamkniętych oczach, wieczorne rekonstruowanie przebiegu dnia, swobodne asocjacje i fantazjowanie. Dorzucam to z myślą o przyjaciółach dobra ogółu i po trosze dla skorygowania powyższej laickiej uwagi – w tej bowiem dziedzinie, w dziedzinie czysto psychicznego doświadczenia i edukacji nie jestem laikiem, ale raczej starym, może wręcz aż nadto biegłym fachowcem.

I znowu zabłąkałem się daleko od tematu, co chyba w ogóle przeznaczone jest tym zapiskom, które – niezdolne zagłębić się w jakiś poszczególny problem i doprowadzić go do ostatecznego rozwiązania – drogą asocjacji i raczej przypadkowo gromadzą obok siebie nasuwające się koncepty. Ale być może – tak przynajmniej sądzę – należy to właśnie do psychologii kuracjusza.

Porzuciłem swój temat, swój jakże przykry temat, na rzecz małej pochwały gier hazardowych, którą to pochwałę skłonny byłbym rozwinąć jeszcze szerzej, bo do tematu wracać mi nieskoro. Ale trudno. Wróćmy do kuracjusza Hessego, przyjrzyjmy się raz jeszcze temu rozleniwionemu starszemu panu o zniechęconej, zmęczonej postawie i powłóczącym chodzie! Nie podoba nam się ten facet, nie możemy go polubić, nie możemy szczerze życzyć mu długiego lub zgoła wiecznego życia, które nie jest ani przykładne, ani interesujące. Nie będziemy mieli nic przeciw temu, gdy człowiek ten zejdzie ze sceny, na której od dawna nikogo już nie cieszy swoim widokiem. Gdyby na przykład któregoś dnia miał w czasie kąpieli ulec zmęczeniu, ześliznąć się pod wodę i tam już pozostać, nie widzielibyśmy w tym bynajmniej powodu do ubolewania.

Jeżeli jednak wzmiankowanemu kuracjuszowi okazujemy tak mało zainteresowania, odnosi się to tylko do jego obecnej funkcji, chwilowego stanu skupienia. Nie powinniśmy wykluczać zawsze przecież żywej nadziei, że stan ten ulegnie zmianie, że istotę jego przeliczy się na inny mianownik. Taki cud, często już doświadczany, zawsze jest możliwy. Owszem, patrzymy na kuracjusza Hessego kiwając głową i uważamy, że koniec jego jest bliski, nie zapominajmy wszelako, że koniec rozumieć można nie w sensie unicestwienia, lecz w sensie przemiany, gdyż fundament i pożywką wszystkich naszych poglądów, a więc i naszej psychologii, jest wiara w Boga, w jedność – a jedność, zarówno w drodze łaski, jak poznania, może nawet w najbardziej beznadziejnych przypadkach zostać ponownie ustanowiona. Nie ma chorego, którego jeden tylko krok – choćby wiodący przez śmierć – nie mógłby uzdrowić i przywrócić życiu. Nie ma grzesznika, którego jeden krok – choćby i przez szafot – nie mógłby uczynić znowu istotą niewinną i boską. I nie ma tak zgorzkniałego, wykołojonego i pozornie bezwartościowego człowieka, którego jeden znak łaski nie mógłby w okamgnieniu odnowić i uczynić pogodnym dzieckiem tego świata. Oby ta moja wiara, ta moja wiedza nigdy nie popadła w zapomnienie, tak przy pisaniu, jak przy czytaniu tych kartek. Autor zaś tych kartek naprawdę nie wiedziałby sam, skąd czerpać otuchę, uzasadnienie, zuchwalstwo pozwalające mu na tę krytykę i humory, na wszystkie te pesymizmy i psychologie, gdyby w jego duszy nie równoważyłaby ich stale niezniszczalna pewność jedności. Odwrotnie: im dalej posuwam się i pozwalam sobie wychylać się w jedną stronę, im elastyczniej poddaję się kaprysom, tym promiennie jasnije po przeciwnej stronie światło pojednania. Gdyby nie ta nieskończona, falująca równowaga, skąd brałbym odwagę, by wyrzec choć jedno słowo, powziąć sąd, czuć i wyrażać miłość lub nienawiść oraz przeżyć choćby godzinę?

POPRAWA

Kuracja moja niedługo dobiegnie końca. I, dzięki Bogu, jest lepiej, jest dobrze. Przez tydzień byłem całkiem zgubiony i pogrążony, już tylko chory, już tylko zmęczony, już tylko znudzony i zbrzydzonej samą sobą. Mało brakowało, a kazałbym sobie nałożyć na łaskę gumowy trzewik. Mało brakowało, a zacząłbym czytać listę gości. Mało brakowało, a słuchałbym muzyki rozrywkowej już nie tylko przez kwadrans albo pół godziny, ale pochłaniałbym cały, jedno albo dwugodzinny koncert, a wieczorem wypijałbym już nie jedną, ale dwie flaszki piwa. Mało brakowało, a przegrałbym w kasynie całą gotówkę. Dałem się też cokolwiek omotać moim sąsiadom przy hotelowym stole, miłym, przyjemnym ludziom, dla których żywię szacunek, od których mógłbym się wiele nauczyć, gdybym nie popełnił odwiecznego błędu, to jest gdybym nie próbował nauczyć się od nich czegoś przez rozmowę. A rozmowy z ludźmi, z którymi nie pozostaje się w serdecznym kontakcie, są niemal zawsze czerze i rozczarowujące. W dodatku obcy, gdy się do mnie zwracają, widzą we mnie niestety zawsze fachowca i uważają, że w rozmowie koniecznie trzeba zatrzeć o literaturę i sztukę, i naturalnie wygadują same głupstwa, i najbardziej uroczego człowieka poznaje się od tej akurat strony, gdzie nie różni się on od większości innych.

Ponadto bóle, kiepska pogoda, przy której co dzień na nowo się przeziębiałem (pojąłem teraz wieczne przeziębienie mego Holendra), i okropne zmęczenie kuracją – cały szereg dni, którymi nie mogę się poszczycić. Ale jak to bywa, pewnego dnia szereg się skończył. Nadszedł dzień, kiedy wszystko obrzydło mi do tego stopnia, że leżałem plackiem i żadna siła nie mogła mnie skłonić nawet do codziennej kąpieli. Zastrajkowałem, po prostu leżałem i już, przez jeden dzień, a nazajutrz zrobiło się lepiej. Ten dzień, kiedy nastąpił zwrot, wart jest zapamiętania, bo zwrot ów i przestawienie nadeszły całkiem nagle i zaskakująco. Człowiek daje sobie radę z każdą, nawet najprzykrzejszą sytuacją, jeżeli tylko chce, i podobnie ja, nawet tego najbardziej pustego i deprymującego dnia kuracji, mimo zniechęcenia ani na chwilę nie zwątpiłem, że wyczołgam się i z tego bagna. Wyczołgiwanie się, powolne, żmudne pokonywanie zewnętrznego świata, powolne szukanie i znajdowanie rozsądnej postawy znamionuje – jak wiedziałem – drogę rozumu, drogę zawsze dostępną i ze wszech miar godną polecenia. Z dawniejszych doświadczeń znałem jednak też inną drogę, drogę, której nie można szukać, można ją tylko znaleźć – jest to droga szczęścia, łaski, cudu. Że cud akurat teraz jest blisko, że z tego zawstydzająco żalostnego stanu ostatnich dni nie będę musiał wydobywać się mozolnym, zakurzonym gościńcem rozumu, świadomego treningu, ale uskrzydłony pofrunę kwietną drogą łaski – w to nie śmiałem wierzyć.

W dniu, kiedy znów otrząsnąłem się z ogłuszenia i zdecydowałem kontynuować kurację i życie, byłem wprawdzie trochę wypoczęty, ale bynajmniej nie w dobrym humorze. Nogi bolały, plecy dokuczały, kark zeszywniał, z trudem przyszło mi wstanie, z trudem przejście do windy i kąpiel, z trudem powrót. Kiedy wreszcie było południe i wśliznąłem się, z kwaśną miną i bez apetytu, do jadalni, nagle zobaczyłem samego siebie, nie byłem już po prostu kuracjuszem, który z ociężałymi nogami i niechętnym grymasem schodzi po schodach, byłem jednocześnie obserwatorem samego siebie. Stało się to nagle na którymś z licznych stopni, nagle rozdziwiłem się, przyjrzałem się samemu sobie, zobaczyłem, jak ten pozbawiony apetytu kuracjusz złazi po schodach, jak ręką wymacuje pomocnej poręczy, jak nie bacząc na ukłon oberkelnera wchodzi do jadalni. Często już przeżywałem taki stan rozdziwienia i fakt, że zdarzyło mi się to akurat teraz, w tym jałowym i obmierzłym okresie, powitałem jako pomyślny znak.

Usadowiłem się w jasnej, wysokiej sali przy moim samotnym okrągłym stoliku i jednocześnie widziałem siebie, jak siadam, jak sobie przysuwam krzesło i trochę przy tym zagryzam wargi, bo sprawia mi to ból, jak potem automatycznie sięgam po wazonik z kwiatami i przysuwam go trochę bliżej, jak powolnym i niezdecydowanym ruchem wyciągam z kółka serwetkę. Nadchodzili inni goście, siadali przy swoich stolikach, niczym krasnoludki w „Królowie Śnieżce”, wyciągali serwetki. Ale dla mego Ja głównym obiektem obserwacji był kuracjusz Hesse. Kuracjusz Hesse, z opanowaną, ale do cna znudzoną miną, nalał sobie do szklanki trochę wody, ułamał kawałek chleba, wszystko dla zabicia czasu, bo nie zamierzał ani pić wody, ani jeść chleba, wodził dla zabawy łyżką w zupie, popatrywał tęnym wzrokiem ku innym stolikom rozległej sali, spoglądał na wymalowane na ścianach pejzaże, zerkał na oberkelnera, który śpiesznie krzątał się po sali, i na ładniutkie kelnerki w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami. Spośród pozostałych gości niektórzy zasiadali w towarzystwie albo parami przy większych stołach, ale większość, tak jak wyżej wzmiankowany, siedziała pojedynczo przed samotnymi talerzami, z opanowanym, choć do cna znudzonym wyrazem twarzy, nalewała sobie do szklanki trochę wody albo wina, skubała chleb, popatrywała tęnym wzrokiem ku innym stolikom, spoglądała na wymalowane na ścianach pejzaże, zerkała na śpieszącego oberkelnera i na ładniutkie kelnerki w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami. Na ścianach rozsiadły się przyjaźnie, głupio i z lekkim zażenowaniem śliczne krajobrazy, a z sufitu pomysł przepadłego bez wieści dekoratora – spoglądały przyjaźnie i bez najmniejszego zażenowania cztery wymalowane głowy słoni, które poprzednich dni nieraz wprawiały mnie w radość, bo jestem przyjacielem i wielbicielem hinduskich bogów i w każdej z tych głów widziałem wyrafinowanego, mądrego słoniogłowego boga Ganeszę, którego otaczam wielką czcią. I często, spoglądając od mego stolika ku słoniom, zastanawiałem się, dlaczegóż to w dzieciństwie opowiadano mi, iż główna zaleta chrześcijaństwa polega na

tym, że nie uznaje ono bogów i bożków, tymczasem ja, im jestem starszy i mądrzejszy, największy brak tej religii upatruję właśnie w tym, że poza cudowną katolicką Madonną nie ma ona bogów ani bożków. Wiele bym dał za to, gdyby na przykład apostołowie nie byli nudnawymi i srogimi kaznodziejami, tylko bogami wyposażonymi we wszystkie możliwe moce i znamiona – słabą, choć mile widzianą namiastką są dla mnie zwierzęta ewangelistów.

Mnie, gościom i całej reszcie, jedzącemu ze znużeniem Hessemu, jedzącym ze znużeniem innym gościom, przypatrywał się nie kuracjusz i ischiatyk Hesse, lecz stary, nieco aspołeczny eremita i dziwak Hesse, stary wędrowiec i poeta, przyjaciel motyli i jaszczurek, starych książek i religii, ów Hesse, który stanowczo i z całą mocą przeciwstawiał się światu, i któremu sprawiało dotkliwą przykrość, gdy musiał zwrócić się do władz o wystawienie zaświadczenia metrykalnego albo choćby wypełnić formularz spisu ludności. Ten stary Hesse, to Ja, które w ostatnim czasie trochę mi się wymknęło i stało się obce, było tu znowu i przyglądało się nam. Widziało, jak gość Hesse bez apetytu, markotnie bawiąc się widelcem dzieli dorodną rybę i nie czując głodu kęsek po kęsku mimo to wkłada w skrzywione usta, widziało, jak tenże Hesse bez najmniejszej potrzeby i bez najmniejszego sensu przesuwając tam i sam szklankę z wodą albo solniczkę, jak na przemian wyciąga i przykurcza nogi pod stołem, jak inni goście robią to samo, jak ci znużeni ludzie obsługiwani są i karmieni z najwyższą troskliwością przez oberkelnera i śliczne młode dziewczęta, choć żaden z nich nie jest głodny, i jak na zewnątrz, za wysokimi, dostojnymi łukami okien, w innym świecie, po niebie ciągną obłoki. Dziwny obserwator przypatrywał się temu wszystkiemu i nagle całe to widowisko wydało mu się czymś nadzwyczaj dziwnym, śmiesznym i komicznym, albo może niesamowitym – ten niepokojący, skostniały gabinet figur woskowych, ludzi, którzy w rzeczywistości nie żyją, ten znużony, jedzący bez apetytu Hesse, ci znużeni inni goście. Było to nie do zniesienia śmieszne, nie do zniesienia idiotyczne – ten nedorzecznie uroczysty spektakl, całe to mnóstwo jedzenia, porcelany i szkła, srebra, wina, chleba, służących, i wszystko to dla paru od dawna nasyconych gości, których nudy i melancholii nie mogło uleczyć jedzenie i picie, ani nawet widok przeciągających niebem obłoków.

Kuracjusz Hesse właśnie ujął szklanę z wodą, wyłącznie z nudów, podniósł ją do ust, nie pijąc naprawdę, dołączył do wszystkich bezsensownych i automatycznych pozornych czynności tego posiłku jeszcze jedną – i w tym momencie nastąpiło zjednoczenie obu jaźni, tej jedzącej i tej przypatrującej się, i nagle musiałem spiesźnie odstawić szklanę, gdyż ogarnęła mnie od wewnątrz nagła, przepotęźna ochota do śmiechu, zgoła dziecinna wesołość, nagłe zrozumienie nieskończonej śmieszności tej sytuacji. Przez chwilę zdawało mi się, że obraz sali pełnej chorych, ponurych, rozpieszczonych i rozleniwionych ludzi (przyjmowałem zaś, że w duszach innych przedstawia się to tak samo jak w mojej) odzwierciedla całe nasze cywilizowane życie, życie bez mocnych bodźców, przymusowo toczące się na ustalonym torze, ponure, bez związku z Bogiem i z obłokami na niebie. Przez chwilę myślałem o tysięcznych salach jadalnych, które wyglądają dokładnie tak samo, o setkach tysięcy kawiarni z poplamionymi marmurowymi stolikami i ckliwą, przesłodzoną, wierzącą w brzuchu muzyką, o hotelach i biurach, o całej tej architekturze, muzyce, zwyczajach, pośród których żyje nasza ludzkość, i wszystko to wydało mi się akurat tyle warte, co znudzone igraszki moich palców z widelcem do ryby, co nienasycone jałowe błędzenie mego niechętnego wzroku po sali. Ale w sumie to wszystko, jadalnia i świat, kuracjusze i ludzkość, przez moment nie wydawało mi się bynajmniej przerażające i tragiczne, tylko bezmiernie śmieszne. Wystarczy się roześmiać, a zakłęcie pryśnie, mechanizm ustanie, Bóg, ptaki i obłoki wtargną do naszej jałowej sali jadalnej, nie będziemy już markotnymi gośćmi kurortowego stołu, staniemy się zadowolonymi gośćmi Boga przy barwnej biesiadzie świata.

Spiesznie więc odstawiłem szklankę z wodą, wstrząsany i zalewany od wewnątrz falą wielkiego śmiechu. Kosztowało mnie sporo wysiłku, by ten śmiech opanować, powstrzymać od wybuchu. Ach, jakże często zdarzało nam się w dzieciństwie, że siedząc gdzieś przy stole, w klasie albo w kościele, czuliśmy, jak przepelnia nas do granic wytrzymałości potężna, w pełni uzasadniona ochota do śmiechu, a nie wolno było się roześmiać, trzeba było się opanować, ze względu na nauczyciela, na rodziców, na obowiązujący porządek i zasady. Niechętnie to uznawaliśmy, niechętnie dawaliśmy posłuch nauczycielowi i rodzicom, dziwiliśmy się, i dziwimy się do dziś, że za tym porządkiem, za naukami religijnymi i moralnymi jako autorytet stać ma ów Pan Jezus, który wszak błogosławił właśnie dzieciom. Czyżby naprawdę miał na myśli tylko dzieci wzorowe?

Ale i tym razem udaje mi się opanować. Siedzę spokojnie i czuję tylko, jak coś wzbiera mi w gardle i łaskocze w nosie, i szukam gwałtownie jakiegoś wentylu i ujścia, dozwolonego i możliwego ujścia dla tego, co mnie dławi. Może by tak na przykład uszczypnąć w nogę oberkelnera, gdy znowu przejdzie obok mnie, albo prysnąć na kelnerkę wodę ze szklanki? Nie, to nie uchodzi, wszystko to jest zabronione, zupełnie jak trzydzieści lat temu.

Mysząc tak sobie i czując w gardle narastający śmiech, spojrzałem akurat na sąsiedni stolik i na nieznaną mi panią, o schorowanym wyglądzie i siwych włosach, która oparła łaskę obok siebie o ścianę i zabawiała się usilnie kręceniem kółka od serwetki, bo akurat wypadła przerwa w jedzeniu, a wszyscy używaliśmy tych samych sposobów, by owe przerwy wypełnić. Jeden zawzięcie czytał gazetę; widać było wyraźnie, że od dawna zna ją na pamięć, mimo to, z nudów, raz jeszcze przetrwał wiadomość o niedyspozycji pana prezydenta i sprawozdanie z działalności pewnej komisji naukowej w Kanadzie. Jakaś stara panna mieszała w szklance dwa proszki, lekarstwa, aby następnie zażyć je po jedzeniu. Wyglądała trochę jak jedna z tych straszliwych matron z bajki, które wyrządzają czarodziejskie środki na szkodę innych, bardziej urodziwych ludzi. Jakiś elegancki pan o zmęczonej twarzy, wyglądający jakby wyszedł z powieści Turgeniewa albo Tomasza Manna, patrzył dystyngowanie i melancholijnie na jeden z wymalowanych na ścianie pejzaży. Z tego wszystkiego najbardziej podobała mi się nasza olbrzymka, siedziała w nienagannej postawie i w dobrym humorze, jak prawie zawsze, przed pustym talerzem, i nie wyglądała ani na rozeźloną, ani na znudzoną. Natomiast ów surowy moralista z marsem na czole i potężnym karkiem spoczywał na krześle niczym cały sąd przysięgłych w komplecie i miał minę, jak gdyby przed chwilą skazał na śmierć własnego syna, podczas gdy w rzeczywistości przed chwilą zjadł tylko porcję szparagów. Pan Kesselring, paż o różowej buzi, wciąż jeszcze był słodki i różowy, choć jakby nieco postarzały i zakurzony, wydawał się w kiejpskiej formie, a dołeczek w dziecinnym policzku wydawał się dziś równie nieprawdopodobny i niepotrzebny jak paczka pikantnych obrazków w jego kieszeni. Jakież to wszystko dziwne i komiczne! Dlaczego jemy i czekamy na kolejne dania, skoro od dawna nie jesteśmy głodni? Dlaczego Kesselring przygląda swoje poetyczne włosy małą kieszonkową szczoteczką, dlaczego nosi w kieszeni te głupie obrazki, dlaczego ta kieszeń podszyta jest jedwabiem? Wszystko było takie

niedorzeczne i nieprawdopodobne. Wszystko pobudzało tak gwałtownie do śmiechu.

Patrzyłem więc na oblicze starej damy. Dama puściła nagle kółko od serwetki i spojrzała na mnie, i podczas gdy przez moment gapiliśmy się wzajem na siebie, śmiech uderzył mi do głowy, nie mogłem się dłużej powstrzymać, nagromadzony śmiech kazał mi najuprzejmiej w świecie wyszczerzyć zęby do damy, rozciągnął mi szeroko usta i wybuchnął oczami. Nie wiem, co sobie o mnie pomyślała, ale zareagowała wspaniale. Najpierw szybko opuściła wzrok i śpiesznie ujęła znów w rękę swoją zabawkę, ale twarz jej stała się niespokojna, i podczas gdy przyglądałem się jej z wielkim zaciekawieniem, twarz ta wykrzywiała się coraz bardziej i robiła najdziwaczniejsze grymasy. Dama śmiała się! Robiąc miny i przełykając ślinę walczyła ze śmiechem, którym ją zaraziłem! Tak więc oboje, znani mieszkańcom hotelu jako stateczni starsi ludzie, siedzieliśmy niczym sztubaki na swoich miejscach, patrzyliśmy przed siebie, zezowaliśmy ku sobie nawzajem, a nasze oblicza pracowały kurczowo, aby opanować śmiech. Dwie, trzy osoby na sali zauważyły to, jęły uśmiechać się z uciechą i nieco kpiąco i nagle jak gdyby szyba pękła w kawałki, a błękitne niebo wlało się do środka, na kilka chwil całą salę przeniknął rozbawiony, łaskotliwy nastrój, nagły uśmieszek, jak gdyby wszyscy w tej samej chwili spostrzegli, że siedząc tak z całym naszym kurortowym dostojenstwem i znudzoną melancholią, prezentujemy się niewypowiedzianie głupio i śmiesznie.

Od tej chwili wiodło mi się znowu dobrze, nie byłem już tylko kuracuszem, wyspecjalizowanym w chorowaniu i kurowaniu się, choroba i kuracja stały się znów sprawami ubocznymi. Bolało mnie dalej, nie da się zaprzeczyć. Ale, na Boga, przecież powinno boleć; zostawiam chorobę jej samej, nie jestem tu w końcu po to, żeby się do niej przez cały dzień zalecać.

Po obiedzie zagadnął mnie jeden z gości, dość niesympatyczny mi pan, mający mnóstwo poglądów, który już nie raz podtykał mi gazety i zmuszał mnie do rozmowy; całkiem niedawno, w trakcie dłuższej, straszliwie nudnej rozmowy o szkolnictwie i edukacji, bez zastrzeżeń i najpokorniej przytaknąłem wszystkim jego ugruntowanym zasadom i opiniom. A oto typek ten znowu wychynął ze swoich stałych czatów na korytarzu i stanął przede mną.

– Dzień dobry – rzekł – wygląda pan dziś doprawdy na uradowanego!

– Owszem, jestem uradowany. W czasie obiadu widziałem obłoki ciągnące po niebie, a że dotychczas byłem zdania, że obłoki te są po prostu papierowe i należą do dekoracji sali, bardzo ucieszyło mnie odkrycie, że to prawdziwy przestwór i prawdziwe obłoki. Na moich oczach popłynęły gdzieś w dal, nie były ponumerowane i żaden nie miał karteczki z ceną. Może pan sobie wyobrazić, jak mnie to cieszy. Pomyśleć, że w samym środku Baden istnieje jeszcze rzeczywistość! To cudowne!

O, jaką paskudną minę zrobił ów pan słysząc moje słowa!

– Taak – wyrzekł tak przeciągle, że trwało to całą minutę. – A więc sądził pan, że rzeczywistości już nie ma! Hm, jeśli wolno spytać, co właściwie rozumie pan przez rzeczywistość?

– Och – rzekłem – z filozoficznego punktu widzenia to bardzo skomplikowane pytanie. Ale w praktyce mogę na nie łatwo odpowiedzieć. Przez rzeczywistość, drogi panie, rozumiem mniej więcej dokładnie to samo, co skądinąd nazywa się też „naturą”. W każdym razie nie nazywam rzeczywistością tego, co nas tu w Baden wciąż otacza; historii chorób i kuracji, reumatycznych powieści i podagrycznych dramatów, deptaku i koncertów w domu zdrojowym, menu i programów, kąpielowych i kuracjuszy.

– Co, więc nawet kuracjusze to dla pana nie jest rzeczywistość? Więc na przykład ja, człowiek, który z panem rozmawia, nie jestem rzeczywisty?

– Bardzo mi przykro, rzecz jasna nie chciałem pana urazić, ale faktycznie w moich oczach jest pan pozbawiony rzeczywistości. Tak jak mi się pan przedstawia, nie ma pan żadnych przekonujących cech, które postrzeżenia czynią przeżyciami, a zdarzenia rzeczywistością. Istnieje pan, drogi panie, temu nie będę przeczył. Ale istnieje pan na płaszczyźnie, której w moich oczach brak pewnej czasowo-przestrzennej rzeczywistości. Istnieje pan, rzekłbym, na płaszczyźnie papieru, pieniędzy i kredytu, moralności, zasad, ducha, szacowności, sąsiaduje pan czasoprzestrzennie z cnotą, imperatywem kategorycznym oraz rozumem i być może jest pan wręcz spokrewniony z rzeczą samą w sobie lub z kapitalizmem. Ale brak panu rzeczywistości, która jest dla mnie bezpośrednio przekonująca w przypadku byle kamienia, drzewa, żaby, ptaka. Mogę pana w nieskończoność uznawać, szanować, mogę wyrazić wobec pana wątpliwości albo aprobatę, ale nie mogę pana doświadczyć, absolutnie nie mogę pana pokochać. Dzieli pan ten los ze swymi krewnymi i całym czcigodnym towarzystwem, z cnotą, rozumem, imperatywem kategorycznym i wszystkimi ideałami ludzkości. Jesteście wspaniali. Jesteśmy z was dumni. Ale nie jesteście rzeczywisti.

Rozmówca mój wytrzeszczył oczy.

– A jeżeli przypadkiem poczuje pan moją rękę na swojej twarzy, czy to pana przekona, że jestem rzeczywisty?

– Jeśli przeprowadzi pan ten eksperyment, to, po pierwsze, ze szkodą dla siebie, bo jestem od pana silniejszy i w tej chwili cudownie wolny od wszelkich moralnych hamulców; ale ponadto nawet za pomocą tego dowodu, który pan tak uprzejmie proponuje, nie osiągnie pan celu. Pański eksperyment wywołałby reakcje z mojej strony, uruchomiłbym cały ów niezawodnie działający mechanizm samozachowawczy, ale atak nie przekonałby mnie bynajmniej o pańskiej rzeczywistości, o istnieniu pańskiej osoby i duszy. Kiedy wypełniam przestrzeń między dwoma elektrycznymi biegunami swoją ręką albo nogą, narażam się na wyładowanie, ale nie będę przecież uważał prądu elektrycznego za osobowość, za istotę tego samego gatunku, co ja.

– Pan jest naturą artystyczną, no cóż, takim się wiele wybacza. Wygląda na to, że pan nienawidzi ducha, myślenia abstrakcyjnego, i bezwzględnie je zwalcza. Jeśli o mnie chodzi – proszę bardzo. Ale jak to pogodzić, panie poeto, z tyloma pańskimi wypowiedziami? Znam pańskie opinie, artykuły, książki, gdzie głosi pan coś wręcz przeciwnego i opowiada się po stronie rozumu i ducha miast po stronie bezrozumnej i przypadkowej natury, gdzie występuje pan w obronie idei i uznaje ducha za naczelną zasadę. Więc jak to jest, hę?

– Czyżbym doprawdy wszystko to głosił? Tak, to możliwe. Widzi pan, mam nieszczęście zawsze przeczyć samemu sobie. Rzeczywistość zawsze tak robi, tylko duch nie i cnota nie, i pan nie, niezbyt szanowny panie. Na przykład latem po forsownym marszu może opanować mnie bez reszty pragnienie szklanki wody i mogę uważać wodę za najcudowniejszą rzecz na świecie. Kwadrans później, gdy się już napiłem, nic na świecie nie wydaje mi się tak nieinteresujące jak woda i picie. Podobnie z jedzeniem, snem, myśleniem. Do tak zwanego „ducha” na przykład mam zupełnie taki sam stosunek jak do jedzenia czy picia. Czasem nie ma na świecie nic, co by mnie pociągało i wydawało mi się tak niezbędne jak duch, możliwość abstrakcji, logiki, idei. Potem znowu, kiedy się tym nasycę i potrzebuję oraz pragnę czegoś przeciwnego, wszelki duch brzydzi mnie jak zepsute jedzenie. Wiem z doświadczenia, że postawa taka uchodzi za arbitralną i pozbawioną charakteru, ba – za niedopuszczalną, ale nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego? Bo podobnie jak potrzeba mi na zmianę jedzenia i postu, snu i czuwania, muszę też nieustannie balansować między naturą i duchem, między doświadczeniem i platonizmem, między ładem i rewolucją, między katolicyzmem i reformacją. Jeżeli człowiek przez całe życie wielbi ducha, a naturą gardzi, jeżeli jest zawsze i wyłącznie rewolucjonistą, a nigdy konserwatystą albo na odwrót – cóż, świadczy to wprawdzie o cnocie, charakterze i niezłomności, ale jest zarazem postawą fatalną, obrzydliwą i zwariowaną, bo to tak, jak gdyby ktoś chciał bez przerwy jeść albo bez przerwy tylko spać. A jednak wszystkie partie i stronnictwa, polityczne czy duchowe, religijne czy naukowe, opierają się na założeniu, że tak wariackie zachowanie jest możliwe, jest naturalne! Pan również uważa za niestosowne, że w jednej chwili zakochany jestem bez pamięci w duchu i przypisuję mu nieograniczone możliwości, a w następnej nienawidzę ducha, pluję na niego, łaknę natomiast niewinności i bogactwa natury! Dlaczego? Dlaczego uważa pan, że naturalność świadczy o braku charakteru, że to, co zdrowe i oczywiste, jest

niedopuszczalne? Jeśli mi pan to zdoła wyjaśnić, chętnie uznam się ustnie i pisemnie za pobitego we wszystkich punktach. Przyznam panu wtedy tyle rzeczywistości, na ile mnie stać, uwieńczę pana wprost aureolą rzeczywistości. Ale widzi pan, cała rzecz w tym, że nie potrafi mi pan tego wyjaśnić! Stoi pan tutaj, pod kamizelką ma pan zjedzone menu, ale ani śladu serca, i w pańskiej do złudzenia trafnie odrobionej czaszce pełno jest ducha, ale ani śladu natury. Nigdy w życiu nie widziałem niczego tak śmiesznie nierzeczywistego, jak pan, panie reumatyku, panie kuracjuszu! Papier wyziera panu każdą dziurką od guzika, duch wylewa się panu wszystkimi szwami, w środku nie pan nic oprócz gazet i formularzy podatkowych, Kanta i Marksa, Platona i tabeli procentowej! Dmuchnę i będzie po panu! Pomyślę o mojej ukochanej albo choćby o malutkim żółtym pierwiosku, i to wystarczy, żeby pana ostatecznie wypchnąć z rzeczywistości! Nie jest pan żadnym przedmiotem, nie jest pan człowiekiem, jest pan ideą, pustą abstrakcją!

I faktycznie, kiedy nieco wzburzony, ale wciąż w najlepszym humorze podniosłem zaciśniętą pięść, by udowodnić tej figurze jej nierealność, pięść przeszła na wskroś, i facet znikł. Dopiero teraz, zatrzymawszy się, zauważyłem, że wyszedłem z domu bez kapelusza i znalazłem się nad pustym brzegiem rzeki; stałem tu sam pod pięknymi drzewami, a woda płynęła i szumiała. I znowu skłaniałem się namiętnie ku biegunowi przeciwnemu duchowi, byłem żarliwie i zapamiętałem zakochany w tym głupim, pozbawionym zasad świecie przypadku, w grze słonecznych i cienistych plamek na różowawym piasku, w rozlicznych melodiach płynącej wody. Ach, znałem te melodie! Pamiętałem rzekę, na której brzegu siedziałem kiedyś w Indiach, w towarzystwie starego przewoźnika, jego imię wyleciało mi już z pamięci, tysiąc lat temu, odurzony myślą o jedności, nie mniej odurzony grą różnorodności i przypadku. Myślałem o mojej ukochanej, o rąbku jej konchy usznej, który wyziera spod włosów, i byłem szczerze gotów zaprzeć się wszelkich ołtarzy, jakie kiedykolwiek wznosiłem rozumowi i ideom, zburzyć je i zbudować nowy ołtarz, na cześć tej na wpół widocznej, tajemniczej konchy usznej. Świat jest jednością, a zarazem jest tak różnorodny, piękno możliwe jest tylko w przemijaniu, łaski zaznać może tylko grzesznik – a symbolem i świętym znakiem tych i stu innych głębokich i wiecznych prawd mogła być równie dobrze ta słodka koncha uszna, jak jakaś Izyda, jakiś Wisznu czy jakiś kwiat lotosu.

Dołem w kamiennym łożysku szumiała rzeka, południowe światło tańczyło na laciej korze platanów! Jak pięknie było żyć! Szaleńcza chęć śmiechu z jadalni gdzieś się zapodziała i przepadła, w oczach miałem łzy, święta rzeka szumiała głębokim napomnieniem, moje serce wypełniała radość i uczucie wdzięczności. Dopiero teraz, przechadzając się wolno pod drzewami, uświadomiłem sobie, w jakiej to otchłani przygnębienia, rozterki, nieszczęścia i głupoty żyłem w ostatnim czasie. Mój Boże, jak marnie ze mną było, jak niewiele brakowało, żebym stał się paskudnym, tchórzliwym typkim! Trochę niedomagania i bólu, parę tygodni życia w kurorcie, okres bezsenności, a już pogrążony byłem po uszy w złym humorze i rozpacz. Ja, któremu dane było słyszeć głos hinduskich bogów! Jak to dobrze, że zły czar został wreszcie przełamany, że znów otacza mnie powietrze, światło słońca i rzeczywistość, że znowu słyszę boskie głosy, znowu czuję w sercu nabożne skupienie i miłość!

Uważnie przebiegłem w pamięci te haniebne dni, strapiony i zdumiony, smutny i gotowy śmiać się ze wszystkich tych głupstw, które mnie omotały. Nie, odtąd mogłem dać spokój wyprawom do domu zdrojowego, niepotrzebne mi było dostojne kasyno, teraz już nie musiałem się martwić, jak spędzić czas. Zakłęcie prysło.

I kiedy dziś, na kilka dni przed zakończeniem kuracji, zastanawiam się, jak do tego doszło, gdy dociekam przyczyn mego upadku i wszystkich tych zawstydzających przeżyć, wystarczy mi przeczytać dowolną stronicę tych notatek, a przyczyna staje się wyraźna. Winna jest nie moja fantazja i skłonność do marzeń, nie brak moralności i mieszczańskich cnót, ale odwrotnie. Byłem właśnie zbyt moralny, zbyt rozsądny, zbyt mieszczański. I tym razem nie uniknąłem starego, odwiecznego błędu, którego dopuściłem się setki razy przedtem i gorzko żałowałem. Chciałem dostosować się do normy, chciałem sprostać wymogom, których nikt mi nie stawiał, chciałem być czymś lub udawać coś, czym wcale nie jestem. I w ten sposób raz jeszcze doszło do tego, że zadałem gwałt samemu sobie i całemu w ogóle życiu.

Chciałem być czymś, czym nie jestem. Jak to? Zrobiłem z mego ischiasu poniekąd specjalność, grałem rolę ischiatyka, kuracjusza, dostosowującego się do mieszczańskiego otoczenia gościa hotelowego, zamiast zwyczajnie pozostać tym, kim jestem. Traktowałem Baden, swoją kurację, swoje otoczenie, swoje dolegliwości o wiele zbyt poważnie, wbiłem sobie do głowy, że jeśli odpokutuję tę kurację, to na pewno wyzdrowieję. Za sprawą pokuty, kary, uświęcających obrzędów, kąpieli i ablucji, lekarza i bramińskich praktyk magicznych chciałem osiągnąć to, co można osiągnąć tylko za sprawą łaski.

Zawsze tak ze mną było. Nawet ta sławetna psychologia kąpielowa, którą wysiadywałem w gorącej wodzie, to też jeden z tych numerów, to także próba intelektualnego zgwałcenia życia, która nie mogła się udać i musiała się zemścić. Ani ja nie jestem – jak przez chwilę mniemałem – reprezentantem jakiejś szczególnej filozofii ischiasu, ani filozofii takiej w ogóle nie ma. Nie istnieje też żadna specyficzna mądrość pięćdziesięciolatka, o której roiłem w przedmowie. Bardzo możliwe, że moje myślenie przedstawia się dziś trochę inaczej niż dwadzieścia lat temu, ale moje uczucia, mój byt, moje pragnienia i nadzieje się nie zmieniły, nie stały się ani mądrzejsze, ani głębsze. Dzisiaj tak jak i dawniej mogę być raz dzieckiem, raz znowu starym człowiekiem, mieć to dwa latka, to tysiąc. A moje próby dostosowania się do unormowanego świata, udawania pięćdziesięciolatka i ischiatyka, pozostają równie bezskuteczne, jak próba pogodzenia się z ischiasem i Baden za pomocą mojej psychologii.

Dwie są drogi wybawienia: droga sprawiedliwości, dla sprawiedliwych, i droga łaski, dla grzeszników. Otóż, będąc grzesznikiem, po raz kolejny popełniłem błąd i próbowałem prześliznąć się drogą sprawiedliwości. Nigdy mi się to nie uda. A sprawiedliwość, ambrozja sprawiedliwych, dla nas grzeszników, jest trucizną, czyni nas gorszymi. Taki już mój los, że wciąż na nowo muszę podejmować te próby, popełniać ten błąd, tak jak i w sferze duchowej będąc poetą, wciąż na nowo próbuję pokonywać świat myśleniem zamiast sztuką. Wciąż na nowo podejmuję te dalekie i mozolne samotne wyprawy, usilnie próbuję sposobów rozumowych, i zawsze kończy się to cierpieniem i zagubieniem. Ale po tej śmierci zawsze następują ponowne narodziny, wciąż na nowo spływa na mnie łaska, a cierpienie i zagubienie przestają dolegać, błędy jaśnieją dobrem, klęski okazują się cenne, bo przywróciły mnie na łono matki, raz jeszcze umożliwiły mi doznanie łaski.

Przestanę zatem wygłaszać na własny użytek moralne kazania, nie będę ganił i żałował prób rozumu i psychologii, prób kuracji, porażek i zwątpień, nie będę się oskarżał. Wszystko obróciło się na dobre. Słyszę przecież głos Boga, wszystko jest przecież dobrze.

Kiedy rozglądam się dziś po moim pokoju numer 65, czuję się komicznie, mianowicie na myśl o rychłym pożegnaniu odczuwam coś w rodzaju tęsknoty, rozstanie już z góry sprawia mi odrobinę bólu. Jakże często siedziałem przy tym stolczku i zapisywałem białe kartki, czasem pełen radości i z poczuciem, że czynię oto coś wartościowego, czasem ze zniechęceniem i niewiarą, a jednak oddany pracy, całym sercem podejmując wysiłek zrozumienia i wyjaśnienia albo przynajmniej szczerego wyznania! Jakże często w tym fotelu czytywałem Jeana Paula! Ile godzin nocnych i całych nocy przeleżałem bezsennie w tej alkwie, pogrążony w sobie, wadząc się ze sobą, usprawiedliwiając się, patrząc na siebie i swoje cierpienia jak na przypowieść, zagadkowy obraz, który kiedyś na pewno uda mi się interpretować i rozwiązać! Ileż listów dostałem tu i napisałem, listów od nieznajomych i do nieznajomych, którzy odkryli w sobie pokrewieństwo z moją odzwierciedloną w książkach istotą, którzy w pytaniu i wyznaniu, w skardze i spowiedzi skierowanej do tego, który wydaje im się pokrewną duszą, szukają tego samego, czego i ja szukam w swoich wynurzeniach i poematach: jasności, pociechy, usprawiedliwienia i nowej radości, nowej niewinności, nowej miłości życia! Ileż myśli, ile nastrojów, ile marzeń nawiedziło mnie w tym pokoiku! Tu w posępne, znużone poranki zbierałem się do kąpieli i w zbolałych, zeszywniałych członkach zaznawałem przeczucia śmierci, odczytywałem niespokojne pismo przemijania; tu w niejednym błogosławionym wieczór roztaczałem swoje fantazje albo wojowałem z Holendrem. Tu, owego szczęśliwego dnia, odczytałem mojej ukochanej przedmowę do „Psychologii” i widziałem, jaką radość sprawił jej mały hołd dla Jeana Paula, którego i ona tak bardzo lubi. I w końcu cały ten okres w Baden, ta kuracja, ten kryzys, utrata i odzyskanie równowagi – wszystko to było ważną epoką w moim życiu.

I co za szkoda, że nie nauczyłem się tęsknić do tego hotelowego pokoiku już trzy albo cztery tygodnie temu!

Ale dajmy temu spokój, niech wszystko będzie jak jest. Wystarczy, że przynajmniej dziś mogę ten pokój, ten hotel, Holendra i całą kurację zaaprobować, pokochać, uznać za część siebie. Teraz, kiedy moje dni w Baden dobiegają końca, widzę, że jest tu bardzo ładnie. Wydaje mi się, że mógłbym tu żyć miesiącami. Właściwie powinienem się na to zdecydować, chociażby dla naprawienia tego wszystkiego, com tu nagrzeszył, przeciwko sobie, przeciwko rozumowi, przeciwko trybowi kuracji, przeciwko moim sąsiadom z korytarza i z jadalni. Czy jednego z tych skrajnie pesymistycznych dni nie zwątpiłem nawet w lekarza, w szczerość jego zapewnień, w wartość nadziei, którą mi dawał? Wiele byłoby do naprawienia. Bo cóż na przykład dało mi prawo, by napadać na tajną kolekcję obrazków pana Kesselringa? Czy jestem sędzią obyczajowym? Czy ja sam nie mam słabostek, które nie każdy gotów byłby pochylać? I dlaczego w tym moraliście z marsem na czole widziałem tylko mieszczaucha, egoistę i zarozumiałego sędziego innych? Równie dobrze mogłem być zrobić z niego Rzymianina, monumentalnie wystylizowanego tragicznego bohatera, ginącego przez własną surowość, cierpiącego przez własne umiłowanie sprawiedliwości. I tak dalej; trzeba by naprawić tysięczne zaniedbania, odpokutować tysięczne grzechy i akty wrogości – gdybym nie porzucił właśnie drogi pokuty i nie poddał się działaniu łaski. Niechaj więc grzechy pozostaną grzechami – cieszymy się, jeśli przez chwilę udaje nam się nie gromadzić nowych!

Pochylając się raz jeszcze nad otchłanią minionych złych dni, widzę w głębi, daleko i w pomniejszeniu upiorny obrazek: kuracjusz Hesse, z bladą i pustą twarzą, z wyrazem niesmaku siedzi przy posiłku, nieszczęśnik pozbawiony dowcipu i fantazji, szary z niewyspania, antypatyczny chory, który nie ma ischiasu, tylko sam jest własnością ischiasu. Ze zgrozą odwracam oczy, szczęśliwy, że ten nieszczęśnik umarł i nigdy więcej go nie spotkam. Niech spoczywa w pokoju!

Jeśli nie traktować sentencji Nowego Testamentu jako przykazań, ale jako wyraz niezwykle głębokiej znajomości tajników naszej duszy, to najmądrzejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, kwintesencja wszelkiej sztuki życia i nauki o szczęściu brzmią: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”, co zresztą jest już powiedziane w Starym Testamencie. Można kochać bliźniego mniej niż siebie – wtedy jest się egoistą, chciwcem, kapitalistą, burżujem, a taki może wprawdzie zgarniać pieniądze i władzę, ale nie zazna w sercu pogody i nie będzie miał dostępu do najbardziej wyrafinowanych i smakowitych radości duszy. Można też kochać bliźniego bardziej niż siebie – wtedy jest się biedakiem, przekonanym o własnej niższości, chcącym kochać wszystko, a pełnym urazy do samego siebie i gotowym samego siebie zadrećcać, i taki człowiek żyje w piekle, gdzie sam codziennie smaży się na wolnym ogniu. Ale równowaga miłości, zdolność kochania bez poczucia winy, miłość do samego siebie, której się nikomu nie kradnie, miłość do innych, która nie ogranicza i nie gwałci własnego Ja – w tych słowach zawiera się sekret wszelkiego szczęścia, wszelkiej błogości. A jeśli kto chce, można to też wyrazić na modłę hinduską i powiedzieć: Kochaj bliźniego, bo on jest tobą – chrześcijańska wykładnia formuły *tat twam asi*. Ach, cała mądrość jest tak prosta, tak dawno już, tak dokładnie i ostatecznie została wyrażona i sformułowana! Dlaczego przychodzi do nas tylko czasem, tylko w dobre dni, dlaczego nie towarzyszy nam zawsze?

RETROSPEKTYWA

Tę ostatnią kartę zapisuje już nie w Baden. Już mnie tam nie ma, jestem – z głową pełną nowych prób i planów – z powrotem w moich stepach, z powrotem w mojej samotności i pustelni. Kuracjusz Hesse dzięki Bogu umarł i nic już nas nie obchodzi. Zamiast niego mamy znów całkiem innego Hessego, który wprawdzie też jest ischiatykiem, ale to on ma ischias, i nie odwrotnie.

Gdy opuszczałem Baden, rozstanie rzeczywiście przyszło mi z trudem. Z różnymi rzeczami i ludźmi połączyła mnie uczuciowa więź, którą teraz trzeba było zerwać – z moim pokojem, z moim gospodarzem, drzewami nad rzeką, z lekarzem, który w czasie pożegnalnej audiencji raz jeszcze znalazł się wspaniale, z kunami, z uprzejmymi ładnymi kelnerkami Rösli, Trudi i resztą, z jadalnią, z twarzami i sylwetkami niektórych towarzyszy w bolesti. Żegnaj mi, uprzejma, zawsze w dobrym humorze, zawsze skora do pomocy asystentko od diatermii! Żegnaj mi, olbrzymko z Holandii, i ty także, jasnowłosa bohaterze Kesselring!

Bardzo miło wypadło pożegnanie z gospodarzem „Heiligenhof”. Z uśmiechem wysłuchał moich podziękowań, mojej mowy pochwalnej na cześć swego hotelu, potem spytał, czy lekarz jest zadowolony ze mnie i z mojej kuracji, a kiedy opowiedziałem mu, że doktor bardzo mnie chwalił i że mam widoki na całkowite wyzdrowienie i mogę teraz spokojnie opuścić Baden, uśmiech mego rozmówcy przerodził się w szelmowski grymas, hotelarz przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

– Tak, niech pan wyjeżdża spokojnie! Gratuluję. Ale widzi pan, wiem coś, o czym pan może nie wie: pan tu wróci!

– Wróć? Do Baden? – zapytałem.

Hotelarz roześmiał się dźwięcznie.

– Tak jest. Wszyscy wracają, wyleczony czy nie, jak dotąd każdy wracał. Następnym razem będzie pan już należał do stałych gości.

Nie zapomniałem tych pożegnalnych słów. Przypuszczalnie hotelarz ma rację. Przypuszczalnie wróczę, raz, może wiele razy. Ale nigdy już nie będę tym, kim byłem tym razem. Będę znowu zażywał kąpieli, będę poddawany działaniu prądu, będą mnie dobrze karmili, może też będę znowu przeżywał depresje i ataki zniechęcenia, będę znowu popijał albo zabawiał się grą, ale wszystko będzie mimo to całkiem inaczej, podobnie jak mój powrót na pustkowie wyglądał tym razem inaczej niż poprzednie. W szczegółach wszystko będzie takie samo, bardzo podobne, ale w całości będzie czymś nowym i innym, będą mi przyświecały inne gwiazdy. Albowiem życie nie jest rachunkiem ani figurą matematyczną, tylko cudem. Tak było przez całe moje życie: wszystko wracało, te same niedole, te same pragnienia i radości, te same pokusy, wciąż na nowo uderzałem głową w ten sam mur, walczyłem z tymi samymi smokami, uganiałem się za tymi samymi motylami, powtarzałem wciąż te same konstelacje i stany, a jednak była to zawsze nowa gra, wciąż tak samo piękna, wciąż tak samo niebezpieczna, wciąż tak samo podniecająca. Tysiące razy byłem zuchwały, tysiące razy byłem śmiertelnie zmęczony, bywałem dzieckiem, bywałem zobojętniałym starcem i nic nie trwało długo, wszystko powracało i nie było już tym samym. Jedność, która wyziera spoza wielości i którą czczę, nie ma nic wspólnego z nudą, szarzyzną, nie jest jednością abstrakcyjną, teoretyczną. Jest samym życiem, pełnym zabawy, bólu, śmiechu. Symbolizuje tę jedność tańczący Sziwa, który swym tańcem w proch obraca cały świat, i wiele innych obrazów, ta jedność dopuszcza wiele przedstawień, wiele porównań. Możesz zawsze w nią wkroczyć, należy do ciebie w każdej chwili, gdy odrzucasz czas, przestrzeń, wiedzę i niewiedzę, gdy wykraczasz poza konwencje, gdy z miłością i oddaniem oddajesz się wszystkim bogom, wszystkim ludziom, wszystkim światom i epokom. W takich chwilach doznajesz naraz jedności i wielości, widzisz przechodzących obok Buddę i Jezusa, rozmawiasz z Mojżeszem, czujesz na swojej skórze słońce Cejlonu i widzisz pokryte

lodem bieguny. Dziesięć razy znalazłem się po tamtej stronie, w tym krótkim czasie, jaki minął od mojego powrotu z Baden.

Nie jestem więc „zdrowy”. Czuję się lepiej, lekarz jest zadowolony, ale nie zostałem uleczony, w każdej chwili wszystko może wrócić. Poza faktyczną poprawą wyniosłem z Baden coś jeszcze, a mianowicie przestałem zbyt okrutnie prześladować swój ischias. Zrozumiałem, że ischias należy do mnie, że nabyłem go tak samo jak pierwsze siwe włosy i że byłoby nierozsądne chcieć go po prostu wymazać albo czarodziejskim sposobem usunąć. Zachowujmy się wobec niego ugodowo, zdobądźmy go postawą pojednawczą!

A jeśli kiedyś znów pojedę do Baden, będę inaczej wchodził do gorącej kąpieli, inaczej żył z moimi sąsiadami, miał inne troski i uciechy, co innego zanotuję. Będę inaczej grzeszył i inaczej odnajdywał znów Boga. I zawsze będę wierzył, że to ja działałem, myślę, żyję, choć wiem przecież, że działa, myśli i żyje On.

Gdy teraz spoglądam wstecz na te parę tygodni kuracji, powstaje we mnie, jak przy każdej retrospekcji, miłe złudzenie wyższości, zrozumienia i przejrzenia na wylot, którym człowiek tak się napawa w młodych latach przy każdym nowym etapie życia. Widzę cierpienia mego świeżo minionego Ja, widzę przebyte dolegliwości fizyczne i bóle duszy, przetrwałem fatalną sytuację i ów Hesse, który niedawno w Baden zachowywał się tak komicznie, zdaje mi się daleko poniżej poziomu mądrego Hessego, który patrzy na tamtego z dzisiejszej perspektywy. Widzę, z jaką przesadą kuracjusz Hesse reagował na śmieszne drobiazgi, rozpoznaje ucieszną grę jego uzależnień i kompleksów, i zapominam, że te drobiazgi wydają mi się błahe i śmieszne tylko dlatego, że nie są już aktualne.

Ale co jest wielkie, co małe, co poważne, a co błahe? Człowieka, który wrażliwie i gwałtownie reaguje na drobne zakłócenia i podnieity, którego byle co uraża, psychiatrzy uważają za chorego na umyśle, podczas gdy człowiek ten z opanowaniem znosi może cierpienia i wstrząsy, które dla większości są czymś okropnym.

A za zdrowego i normalnego uchodzi człowiek, który nie zauważy, że mu się depcze po odciskach, który bez słowa skargi i narzekania znosi najgorszą muzykę, najohydniejszą architekturę, najbardziej zepsute powietrze, za to wali pięścią w stół i sadzi wszystkimi diabłami, gdy przegra w karty. W rozmaitych lokalach często widywałem ludzi cieszących się dobrą opinią, uchodzących za całkowicie normalnych i szacownych, jak z powodu przegranej, zwłaszcza gdy mogli całą winę rzucić na partnera, kłęli i wściekali się bez opamiętania, tak prostacko i ordynarnie, że czułem żywe pragnienie, by u najbliższego lekarza wnieść o internowanie tego nieszczęśnika. Różne można wyznawać kryteria; niektórych jednak, choćby i podsuwanych przez naukę albo chwilową moralność publiczną, nie jestem w stanie uznać za święte i nietykalne.

I ten sam człowiek, który uśmieje się z autoportretu kuracjusza Hessego i uzna tego faceta za zgoła komicznego (w czym będzie miał rację), bardzo by się zdziwił, gdyby opisano mu oraz szczegółowo i dokładnie zanalizowano jakiś tok myślowy, pierwszą lepszą z jego codziennych reakcji na otoczenie. Pod mikroskopem coś skądinąd niewidocznego albo brzydkiego, na przykład odrobina błota, może stać się cudowną gwiazdą z nieba, i podobnie pod mikroskopem prawdziwej psychologii (która jeszcze nie istnieje) każdy najmniejszy impuls duszy, choćby najgorszy, najgłupszy, najbardziej zwariowany, może stać się świętym, nabożnym widowiskiem, gdyż jest przecież jedynie przykładem, metaforycznym odbiciem największej znanej nam świętości – życia.

Byłoby zuchwalstwem, gdybym chciał utrzymywać, iż wszystkie moje wysiłki literackie od lat są jedynie próbą osiągnięcia, domacania się tego odległego celu, wątłym, słabym przecuciem owej prawdziwej psychologii, patrzącej na świat okiem, dla którego nie ma rzeczy małych, głupich ani brzydkich, lecz wszystko jest święte i godne szacunku. A przecież po trosze tak właśnie jest.

I jeśli teraz, żegnając się z tymi kartkami, ogarniam ostatnim spojrzeniem całą moją epokę badeńską, zostaje mi jakieś niezadowolenie, jakiś cierń, jakiś smutek. Smutek ten nie odnosi się do popełnionych przeze mnie głupstw, do mej niecierpliwości, nerwowości, moich pochopnych, surowych sądów, krótko mówiąc – do wszystkich moich ludzkich niedostatków i błędów, o których wiem, że są głęboko uwarunkowane i konieczne. Nie, ten smutek, to uczucie pustki i bólu dotyczy niniejszych zapisków, usiłowania, by maksymalnie prawdziwie i szczerze opisać drobny kawałek życia. Jestem strapiony i zawstydzony, przyznaję – nie swymi grzechami i występkami, ale wyłącznie niepowodzeniem mego językowego eksperymentu, wątłym plonem moich literackich wysiłków.

Rozczarowanie moje wiąże się z jedną, konkretną sprawą. Może zdołam objaśnić to za pomocą porównania.

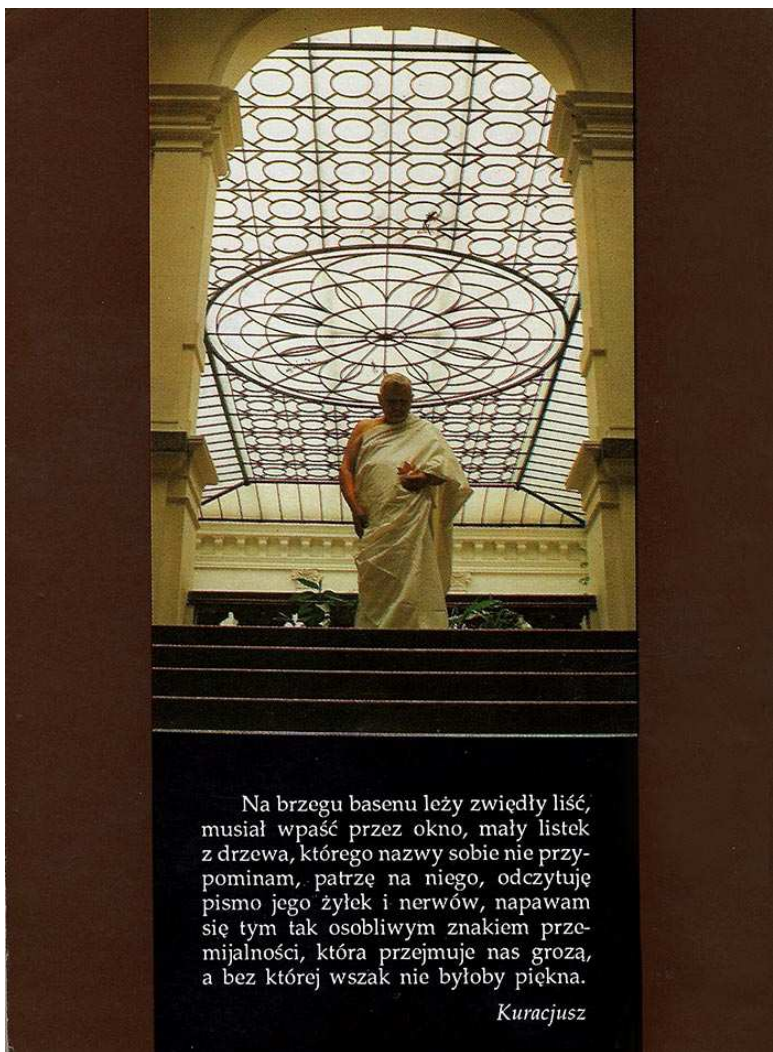
Gdybym był muzykiem, mógłbym bez trudu skomponować melodię na dwa głosy, melodię, która składa się z dwóch linii, z dwóch szeregów dźwięków i nut, które odpowiadają sobie wzajemnie, dopełniają się, zwalczają, warunkują, tak czy inaczej w każdej chwili, w każdym punkcie szeregu pozostają w stosunku wzajemnego żywego oddziaływania i odniesienia. I każdy, kto potrafi czytać nuty, mógłby odczytać moją podwójną melodię, widziałby i słyszałby w każdym dźwięku dźwięk mu przeciwny, jego brata, wroga, przeciwieństwo. Cóż, właśnie to tę dwugłosowość, tę wiecznie poruszającą się antytezę, tę podwójną linię chciałbym wyrazić w dostępnym mi materiale, w słowach, i pracuję jak wół, i nie udaje mi się. Próbuję wciąż na nowo, i jeśli cokolwiek używa mej pracy napięcia i wewnętrznej siły, to wyłącznie owo intensywne dążenie do niemożliwości, ta dzika walka o rzecz nieosiągalną. Chciałbym znaleźć trafny wyraz dla dwoistości, chciałbym pisać rozdziały i zdania, gdzie stale byłoby widać jednocześnie daną melodię i melodię jej przeciwną, gdzie różnorodności towarzyszyłaby zawsze jedność, a każdemu żartowi – powaga. Gdyż na tym wyłącznie polega moim zdaniem życie, na fluktuacjach między dwoma biegunami, na oscylowaniu między dwoma filarami świata. Chciałbym nieustannie pokazywać z zachwytem cudowną barwność świata i zarazem przypominać, że zasada się ona na jedności; chciałbym nieustannie dowodzić, że piękno i brzydota, światło i mrok, grzech i świętość są przeciwieństwami tylko przez chwilę, że zawsze spletają się ze sobą i przechodzą jedno w drugie. Najszczytniejszy wzlot ludzkości to według mnie te parę słów, w których za pomocą magicznych znaków wyrażono ową podwójność, to te nieliczne tajemnicze sentencje i metafory, gdzie wielkie przeciwieństwa uznano zarazem za konieczne i złudne.

Chińczyk Latsy ułożył wiele takich sentencji, w których oba bieguny świata na mgnienie zdają się ze sobą stykać.

Ten sam cud przemawia do nas jeszcze szlachetniej i prościej, z większym uczuciem, w wielu słowach Jezusa. Cóż bardziej wstrząsającego, niż to, że jakaś religia, jakaś nauka, jakaś szkoła duszy przez tysiąclecia wykształca i sublimuje naukę o dobru i złu, o tym, co słuszne i niesłuszne, stawia coraz wyższe wymagania sprawiedliwości i posłuszeństwa, aby na koniec wznieść się do magicznego zrozumienia, iż dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych przed obliczem Boga znaczy mniej niż grzesznik w chwili nawrócenia!

Ale może to wielki błąd, może to grzech z mojej strony, jeśli uważam, że zadaniem moim jest służyć obwieszczaniu tych najwznioślejszych intuicji. Może nieszczęście naszego dzisiejszego świata polega właśnie na tym, że owa najwyższa mądrość otrąbiana jest na każdym rogu, że w każdym kościele prócz wiary w zwierzchność, pełną kiesę i dumę narodową, głosi się wiarę w cud Jezusa, że Nowy Testament, szkatułka najcenniejszej i najbardziej niebezpiecznej mądrości, do nabycia jest w każdym sklepiku, a misjonarze rozdają go nawet za darmo. Może te niesłychane, śmiałe, wstrząsające myśli i przeczucia, jakie znajdujemy w tylu słowach Jezusa, powinny być trzymane w ukryciu i chronione za murami. Może należałoby sobie życzyć, by człowiek, aby poznać te potężne słowa, musiał poświęcić lata i ryzykować życiem, tak jak musi to czynić w imię innych wartości życiowych. Jeżeli tak jest (a czasem wydaje mi się, że właśnie tak jest), to ostatni z autorów piszących dla rozrywki postępuje lepiej słuszniej niż ten, kto stara się wyrazić rzecz wieczną.

Na tym polega mój problem i dylemat. Wiele można o tym powiedzieć, ale rozstrzygnąć go nie można. Nigdy nie zdołam nakłonić wzajem ku sobie biegunów życia, zapisać dwugłosowej melodii świata. Mimo to posłuszny mrocznemu wewnętrznemu rozkazowi będę wciąż na nowo próbował. Ta sprężyna wprawia w ruch mój zegareczek.



Na brzegu basenu leży zwiędły liść,
musiał wpaść przez okno, mały listek
z drzewa, którego nazwy sobie nie przy-
pominam, patrzę na niego, odczytuję
pismo jego żyłek i nerwów, napawam
się tym tak osobliwym znakiem prze-
mijalności, która przejmuję nas groza,
a bez której wszak nie byłoby piękna.

Kuracjusz